

W NUMERZE: Binkowski o Stefci ■ Iwanicki w WESPO ■ Gicgier z Ejsmondem w puszczy ■ Superman nad Ziemią ■ Frejdlch aż w Rumunii ■ Ponadto o polityce A. Blajer, W. Sławski, J. Czech ■ Do tego jeszcze recenzje, felietony, wiersze

odgłosy

tygodnik społeczno-kulturalny

Kódź



NR 7 (1106) ROK XXII

18 LUTEGO 1979 R.

CENA 3 ZŁ



Foto: Archiwum

KRZYSZTOF POGORZELEC

W DZIESIĄTKĘ

Kiedy powstawała — nie dawano jej większych szans ani też perspektyw. Co więcej: zapominając własne restrykcyjne posunięcia wobec wschodu, zachód — jak przysłowiowa ciotka z kanapy — „miał za złe” inicjatorom porozumienia, oskarżając ich o rozmaitej maści nieuczciwe tendencje i grzechy, z... rozbijaniem Europy włącznie. Takie to wróżby oraz opinie próbowano lansować, kiedy 30 lat temu, w styczniu 1949 roku, między innymi z inicjatywy Polski, powołana została do życia pierwsza organizacja ekonomiczna państw socjalistycznych, integrująca ich działanie — Rada Wzajemnej Pomocy Gospodarczej.

Czas narodzin wyznaczały zimnowojenne poddmuchy. Sztuczne bariery w międzynarodowych stosunkach ekonomicznych: lista towarów, na które obowiązywało ścisłe embargo, gdy w grę wchodziła sprzedaż do krajów socjalistycznych obejmowała praktycznie wszystkie ważniejsze wyroby i surowce — to tylko jeden z charakterystycznych elementów ówczesnej sytuacji politycznej i gospodarczej. Wtedy to, w trosce o dalszy rozwój państw socjalistycznych, między innymi z inicjatywy Polski, powołano do życia RWPG — Radę Wzajemnej Pomocy Gospodarczej. W skład tej nowej organizacji ekonomicznej weszły jako członkowie założyciele: Bułgaria, Czechosłowacja, Polska, Rumunia, Węgry, ZSRR, a następnie Albania — która, mimo że formalnie nie wystąpiła z RWPG, od roku 1961 nie uczestniczy w jej pracach — nieco później NRD, Mongolia, wreszcie Kuba i Wietnam.

W charakterze obserwatorów w pracach niektórych organów RWPG biorą udział przedstawiciele Jugosławii, Koreańskiej Republiki Ludowo-Demokratycznej. Bardzo zainteresowani pracami RWPG są Finlandia oraz Meksyk.

...

Tyle o charakterze syntetycznej odpowiedzi na pytania jednego z naszych Czytelników, który prosił o bliższe rozszyfrowanie często pojawiającego się literowego skrótu: RWPG. Sądzę jednak, że nie jest to pełne i właściwe poinformowanie naszego Czytelnika, bowiem chodzi chyba tutaj nie tyle o formalną stronę powołania, czy nawet mechanizm funkcjonowania RWPG, ile o skutki ekonomiczne działania organizacji będącej wyrazem procesów integracyjnych zachodzących w krajach socjalistycznych. Zresztą od roku 1949, w którym to powstała RWPG, nie tylko wiele wody spłynęło Wisłą, Dunajem, Wełtawą, Moskwą i Szprewą, ale i w sposób zasadniczy zmieniły się funkcje, zadania RWPG sprowadzone na początek przede wszystkim do niwelowania skutków budowania zimnowojennych barier wokół państw socjalistycznych.

Warto postawić pytanie, jaki jest bilans socjalistycznej integracji, przy czym odpowiedź w znacznym stopniu

równa się wyjaśnieniu, wskazaaniu na rolę, którą dziś spełnia ta międzynarodowa organizacja.

PATRZĄC WSTECZ

Dziś, po 30 latach funkcjonowania pierwszej na taką skalę organizacji ekonomicznej, zespalającej gospodarcze poczynania krajów socjalistycznych, wypada przede wszystkim stwierdzić, iż niezmiernie wiele zmieniło się tak w funkcjach, zadaniach, jak i strategicznych celach stawianych sobie przez państwa członkowskie. Odbiegają one daleko od nowego punktu wyjściowego, którym przed 30 laty było zadanie możliwie najskuteczniejszego ograniczenia ewentualnych skutków barier i drastycznych ograniczeń, jakie w międzynarodowych stosunkach, w handlu z krajami socjalistycznymi, Zachód u schyłku lat-40 zaczął budować i praktykować.

Rozszyfrujemy owe bariery i restrykcje, jakie Zachód usiłował zastosować wobec państw socjalistycznych u schyłku lat czterdziestych. Wywodziły się one niewątpliwie z ówczesnej sytuacji politycznej nie tylko Europy, ale całego świata. To przecież właśnie wtedy pojawia się w praktyce stosunków międzynarodowych pojęcie „zimnej wojny”, a owe wspomniane już bariery, zgodnie z faktyczną sytuacją, interpretowane są przez komentatorów prasy państw socjalistycznych w następujący — przykładowo biorąc — sposób:

„Rządy USA, Anglii oraz niektórych innych krajów Europy zachodniej bojkotują stosunki handlowe z krajami demokracji ludowej i ZSRR, ponieważ kraje te nie uważają za możliwe podporządkowanie się dyktatowi planu Marshalla, który narusza suwerenność i interesy ich gospodarki narodowej”.

Biorąc więc ogólnie, u podstaw powstania Rady Wzajemnej Pomocy Gospodarczej znajdowały się następujące czynniki:

◀ złożona sytuacja międzynarodowa, z której wyniknęła konieczność obrony interesów państw socjalistycznych, zagrożonych posunięciami ekonomicznymi Zachodu, głównie tzw. embargiem w stosunkach handlowych;

Dalszy ciąg na str. 3

EUGENIUSZ IWANICKI

WESPO

modnie i praktycznie

Pewnego dnia, dwa lata temu, przed „Juventusem” falował tłum. Dostarczono właśnie modne spodnie z „teksasu”, ostatni krzyk mody dla podłotków i ludzi starszych! I, co ciekawe, nie były to żadne Rifle, Wranglery czy Lewisy, lecz nasz krajowy wyrób sygnowany metką z napisem „WESPO”. Tak oto weszła na rynek i od razu zdobyła sobie uznanie **Odzieżowa Spółdzielnia Pracy „Wespo” z Wielunia.**

Moda jest kapryśna i zmienna. Co jakiś czas jedne wzory zostają wyrzucone do lamusa, inne — często bardzo efektowne i szokujące — opanowują ulice, sale dancingowe, plaże. Wraz ze śmiercią salonów zniknęły na zawsze pewne utarte standardy. Pauperyzacja zezwoliła na lżejszy krój i pospolitsze materiały, choć paryskie domy mody nadal szyją kreacje dla snobów. Styl i sposób noszenia się narzuca nam młodzież.

Modne są ubiory tanie, niekrepujące, takie, które można po roku noszenia bez żalu wyrzucić, ubiory z łatwo dostępnych, a przy tym nie wymagających prasowania materiałów. Nie mogą to być elany, bistory itp. Fason i krój stanowią wyzwanie wobec obowiązujących kanonów. W ubiorze musi być troszkę niedbalstwa, ma być on wygodny, przewiewny. Młodzieżowy strój podkreśla niezależność, deaprobatek wszystkiego, co nobliwe, ugrzecznione, uroczyste.

Dalszy ciąg na str. 4

LAUREACI NAGRÓD MIASTA ŁODZI 1979

We wrześniu 1978 roku mgr Henryk Konarzewski, zasłużony pedagog, wychowawca pokoleń łódzkiej młodzieży, wieloletni dyrektor XXVI Liceum Ogólnokształcącego im. Małgorzaty Fornalskiej, przeszedł na emeryturę. W styczniu 1979 roku Łódź uhonorowała jego zasługi Nagrodą Miasta. — Przyjąłem tę nagrodę z ogromną radością i satysfakcją. Ale traktuję ją przede wszystkim jako wyraz uznania nie tylko dla mojej osobistej pracy, ale i dla trudnej i odpowiedzialnej pracy wszystkich łódzkich nauczycieli i wychowawców. I tak chyba należy tę nagrodę rozumieć. — Co w pana przypadku zdecydowało o wyborze zawodu pedagoga? — Czy to było powołanie? W każdym razie wybór był świadomy. Miałem wprawdzie inne plany. Po ukończeniu filologii klasycznej chciałem zająć się pracą naukową, ale wojna pokrzyżowała moje zamiary. Prowadziłem tajne nauczanie na kompletach w zakresie szkoły średniej. Zostałem więc nauczycielem już w czasie okupacji. — Po wojnie już pan nie myślał o pracy naukowej? — Nie. 17 lutego 1945 roku zaczęłem uczyć w byłym III Państwowym Gimnazjum i Liceum im. S. Żerom-

skiego. — Niewątpliwie. Bez tego niezago- zeni wraca do normalnego układu. Ale najbardziej przykre jest to, że część kobiet, bo o mężczyznach bym raczej tego nie powiedział, trafiła do zawodu nauczycielskiego z przypadku. Kończy studia, nie bardzo w gdzie pracować więc idzie do szkoły. To nie oznacza, że potem nie można zostać dobrym pedagogiem. Nie zawsze jednak tak się dzieje. — Myślałem, że użyję pan znanego argumentu: kobieta — nauczycielka, to również żona, matka, gospodyni domu, siłą rzeczy będzie się starała ograniczać czas pracy w szkole. — Dla mnie to nie jest najważniejszy problem. Istotniejsze jest to, co mówili. Ten stan rzeczy musi ulec zmianie. Trzeba stworzyć takie warunki, żeby zawód nauczyciela nie przegrany, z różnych względów, w konkurencji z innymi zawodami. — Czy jako wieloletni dyrektor zrealizował pan swoją koncepcję, swój model szkoły? — Z czystym sumieniem mogę powiedzieć, że zawsze starałem się wykorzystywać wszystkie dane mi możliwości. Staralem się wspólnie z kolegami, żeby nasza szkoła nie była dla uczniów tylko miejscem, gdzie pod przymusem zdobywać się wiedzy. Zawsze na przykład ogromną rolę przywiązywałem do sportu. Tworzyliśmy specjalistyczne grupy młodzieżowe, w których uczniowie sami byli i zawodnikami i sędziami i trenerami. Uważam, że sport jest tą formą wychowania, która pozwala łączyć elementy zdrowia z wyważaniem w uczeniu pasji, ambicji, zdrowej rywalizacji. To się później w życiu przy- daje. Podobną rolę spełniają i inne



Foto: A. Wach

skiego, które wówczas mieściło się przy ul. Roosevelta, a później przeniesiono je na ulicę Łęczycką. Z tej szkoły odszedłem w roku 1961. Przez pewien okres pracowałem w szkolnictwie zawodowym, a w 1963 roku zacząłem pracę w dzisiejszym XXVI Liceum im. Małgorzaty Fornalskiej, wówczas VI Szkole TPD. — I cały czas uczył pan języka łódzkiego? — Nie tylko. W pierwszych miesiącach uczyłem przysposobienia wojskowego. Wszyscy nauczyciele ze stopniem wojskowym zobowiązani byli do prowadzenia tych zajęć. Tak była potrzeba chwili. — Bywa, że narzeka się na współczesną młodzież. Że jest leniwa, że bez ambicji, że obojętna. Pan, jako wychowawca wielu pokoleń, ma chyba najlepszą możliwość porównań. — Młodzież, niezależnie od czasów w jakich żyje, ma te same cechy charakteru. Powiedziałbym, cechy stałe. To jest zapał, entuzjazm, umiowanie prawdy, ogromne wyczuwanie na sprawiedliwość. Od nas, pedagogów, zależy czy te cechy będą wydobyte, czy należyce wykorzystamy je w pracy z młodymi ludźmi. Pewnie, że młodzież którą uczyłem w czasie okupacji i wkrótce po wojnie, nie trzeba było tłumaczyć, dlaczego ma się uczyć. Dla nich to była sprawa naturalna i konieczna. Dziś już trzeba dotrzeć do ucznia, stosując różnorakie metody. — Trzeba chyba dokładnie poznać psychikę każdego ucznia...

NIE ODSZEDŁEM OD MŁODZIEŻY

— Jaki powinien być wobec tego dobry, współczesny pedagog? Dobry, bo nie mówimy o ideale. — Przede wszystkim musi być autentycznie szczery. Nie może to być jednak szczerość w znaczeniu „brat- lata”. Młodzież trzeba kochać, ale trzeba też zachować konieczny dystans. Następna, ważna cecha pedagoga, to bezdyskusyjna sprawiedliwość. Na szczerość i sprawiedliwość nauczyciela uczeń jest bardzo wychulony, tu nie może być miejsca na najmniejszą wątpliwość. Dalsza sprawa to konieczność nieustannej pracy nauczyciela nad sobą. Lekcja nie może być improwizacją. To musi być skuteczny mechanizm wykorzystujący wszystkie środki i pomoce, jakimi dysponuje szkoła, więc radio, telewizja, magnetofon, nawet magnetowid. Nauczyciel musi pamiętać, że na lekcji siedzi 30 lub 40 wizerunków, że jest pod nieustanną obserwacją uczniów, którzy doskonale się orientują, czy jest do lekcji przygotowany, czy jest zaangażowany w to co robi, czy jest autentyczny. Lekcja musi być atrakcyjna, musi zainteresować wszystkich uczniów. To jest trudne, ale konieczne. Inaczej nie osiągnie się właściwych efektów nauczania. — Zawód nauczycielski opanowały w tej chwili kobiety. Jak to się odbija w pracy szkolnej? — Rzeczywiście, jest mężczyzna w naszym zawodzie, jest w tej chwili minimalna. I to jest zjawisko bardzo niekorzystne. Proszę mnie broń Boże nie traktować jako antyfeministę. Daleki jestem od tego, ale taka sytuacja niepokoi. Wychowujemy młodzież w szkołach koedukacyjnych. Gdzie ma szukać wzoru osobowego młody chłopak? W domu ojców, niestety, często nie ma czasu na bliski kontakt z synem. Pozostaje matka a w szkole nauczycielka. To kobiecie wychowanie ma wprawdzie swoje pozytywne, myślę tu o kształtowaniu takich cech jak delikatność, czy wrażliwość. A gdzie szukać cech typowo męskich: hartu, odporności, silnej woli, stanowczości? Poza tym obraz dorosłego społeczeństwa w szkole jest zachwiany. Nie ma zachowanej równowagi płci, która poza szkołą istnieje

formy pracy pozaszkolnej: zespoły artystyczne, praca w różnego rodzaju organizacjach uczniowskich, konkursy, olimpiady, słowem to wszystko, co pozwala prawidłowo rozwijać najlepsze cechy osobowe. Ta forma pracy, podobnie jak lekcja, nie może polegać na improwizacji, musi być bezwzględnie dopracowana. — 23 lata pracy w jednej szkole to bardzo wiele. Z czego pan jest dziś najbardziej zadowolony? — Z wychowanków. Z tego, że coś w życiu osiągnęli, że w ich sukcesach zawodowych ma swój udział również moja praca. To miłe. Jeśli dawny wychowanek nie zapomina o swoim nauczycielu. Po przyznaniu mi Nagrody Miasta Łodzi otrzymałem od nich mnóstwo listów, depesz, telefonów, były nawet wizyty w domu. To o czymś świadczy. Tym bardziej że z niektórymi moimi uczniami rozstałem się już bardzo dawno. — Poza tym ogromną satysfakcją sprawia mi fakt, że szkoła, która uchodziła za jedną z najsłabszych, wypracowała sobie silny styl, własne oblicze, że coś znaczy w naszej społeczności. — Trudno było chyba panu pożegnać się ze swoją szkołą? — Na pewno. Mam jakiś niedocasy, że to się już skończyło, że cały ten proces został dla mnie zamknięty. Że jeszcze nie wszystko zrobiłem. Ale wiem na pewno, że moja praca będzie realizowana dalej przez moich następców. Nowa dyrekcja szkoły to również mój wychowanek. To mi pozwala mieć pewność, że oni będą pracować jeszcze lepiej niż ja. — Zresztą nie zerwałem kontaktu ze szkołą. Odwiedzam ją bardzo często. Inaczej młodzież mogłaby pomyśleć, że nauczyciel przestał się nią interesować. A tak przecież nie jest. W dalszym ciągu czuję się członkiem społeczności naszej szkoły.

Rozmawiała: **BOGDA MADEJ**

TWÓRCA POWŚCIĄGLIWY

Józef Skrobiński był reżyserem filmów oświatowych i animowanych, ale w pamięci zostanie przede wszystkim jako malarz. Nie dlatego, by twórczość plastyczna zajmowała w Jego dorobku ważniejsze miejsce niż film — ale była Mu po prostu bliższa, przywiązywał do niej większą wagę. Do malowania skłonił Go podczas studiów na Uniwersytecie Warszawskim sam Władysław Witwicki, wybitny filozof, psycholog i teoretyk malarstwa. Na młodym studencie matematyki (i osobowość profesora, „renesansowość” zainteresowań wywarła głębokie wrażenie; sprawiła, że tuż po zakończeniu wojny zajął się ostatecznie filmem i twórczością malarzką. W Wytwórni Filmów Oświatowych zrealizował kilkadziesiąt utworów. Z naukami ścisłymi nigdy ostatecznie nie zerwał: większość z Jego krótkometrażowych filmów dotyczyła właśnie matematyki, astronomii, fizyki, biologii. Filmy te sięgały najczęściej po tematy trudne, a zarazem najbardziej zasadnicze — jak choćby „Życie gwiazd”, „Budowa materii”, „Energia jądrowa”, „Funkcje trygonometryczne” czy „Granice fantazji”. Głównym bohaterem była tu w rzeczywistości Przyroda, każdy z tematów traktował reżyser jako wynek nieustannego procesu budowy i odbudowy życia. Niemal równoległe do rozwoju pracy nad filmem przebiegała linia zainteresowań malarskich. W 1946 r. Józef Skrobiński wziął po raz pierwszy udział w wystawie; odkąd każdego roku wystawiał — głównie na okrogowych pokazach lub ogólnopolskich festiwalach obrazy, które łatwo było rozpoznać, a większość także zapamiętać. Nie była to twórczość bogata ilościowo, lecz za to kierowana zawsze konsekwentnym, raz obranym programem artystycznym. Najczęściej osobę Skrobińskiego łączono z „Łódzką szkołą realistów”, którą tworzyli w połowie lat pięćdziesiątych Wiesław Garboliński, Jerzy Krawczyk, Barbara Szajdzińska-Krawczyk, Benon Liberski, Leszek Różga. Jak pisał historyk „Łódzkich realistów” prof. Henryk Anders, „łączy ich wspólna niechęć z jednej strony do nalwnych zaleceń akademizmu, z jego płytką wiją cukierkowatej rzeczywistości, z drugiej — do eksperymentów wyłącznie formalnych”. Realizm w obrazach Skrobińskiego był znakomitą ilustracją owej programowej niechęci: forma czy temat były traktowane w konwencji realizacyjnej, komunikatywnej; natomiast prawdziwy sens obrazów ukryty był w ich metaforycznej symbolice. Dopiero dzisiaj z metaforyki zrobiono klucz do otwierania znaczeń literackiej warstwy malarstwa, ale z kolei większość artystów uprawiających tę metodę obrazowania posługuje się specjalnymi zabiegami, czy rekwizytami, mającymi zorientować widza, że treści należy szukać głębiej. Józef Skrobiński pozostał do końca wierny przekonaniu, że za blęgi te byłyby jedynie zbędnymi ozdobnikami, a cała siła i zarazem wartość sztuki, polega na wywołaniu porozumienia z odbiorcą za pomocą najprostszymi, jakby najbardziej „naturalnych” środków. Były nimi w jego obrazach kolor (zwykle przygaszony, nastrojowy, ale równocześnie zdecydowany) i ekspresyjne, wyraźne modelowanie postaci, prowadzące się do eliminowania zbędnych szczegółów, lekkiej deformacji proporcji, podkreślanie szczególnie ważnych z punk-

tu widzenia całości kompozycji akcentów. W podobny sposób traktował swoich bohaterów (by znów posłużyć się analogią do filmu) włoski, tak niegdyś głośny „neorealizm”. Na płótnach Skrobińskiego nie było podziału na pejzaż, czy sztafaj; każdy z elementów był jednakowo ważny, w ten sam sposób podporządkowany tematu. Zawsze jednak głównym akcentem było odniesienie do refleksji nad egzystencją człowieka; nawet drzewa, czy widoki szachownicę pol, były tu wyposażone w szczególne, tylko ludziom właściwe „życie”. Większość obrazów Józefa Skrobińskiego traktowała o Łodzi. Jeśli nawet w tytułach brakowało wyraźnych łódzkich akcentów — to i tak bezbłędnie można było odgadnąć rodzajów bohaterów czy prawdziwą genealogię postaci: byli nimi łódzcy robotnicy i robotnice, rewolucjonści — bohaterowie historii tego miasta, czy wreszcie zwykli ludzie pokazywani na tle właściwego sobie otoczenia. Wybór tematyki skłaniał artystę do tak charakterystycznej konwencji obrazowania: pełnej powściągliwości, nieubarwionej. Przenosiła polegała na tym, że niemal każdy z tematów będąc odbiciem wybranej przez artystę rzeczywistości — równocześnie był pełnym zadumy uogólnieniem, właśnie metaforą losu człowieka w ogóle. Przypadało, że i konsekwentne trzymanie się tych założeń nigdy nie przysparzało Mu popularności; mało kto z widzów czy krytyków rozumiał, że wierność trzymaniu się raz przyjętego schematu polegała tu na wierności samemu sobie. W rzeczywistości bowiem każdy z obrazów był odzwierciedleniem nastrojów, refleksji czy reminiscencji samego artysty, bardziej niż realizacją konkretnego tematu. Wiele wśród pejzaży — zwłaszcza łódzkich — to takie, na których można było doszukiwać się topografii istniejącego fragmentu miasta; większość jednak odnosiła się do uogólnienia i tworzyła artystyczną wizję nastroju, klimatu czy specyfiki Łodzi. W uznaniu zasług w dziedzinie twórczości malarskiej i filmowej w tym roku przyznano Józefowi Skrobińskiemu Nagrodę Miasta Łodzi. Miała ona być wyrazem wdzięczności wobec twórcy, który całą swą artystyczną drogę związał z Łodzią i rozwinął w naszym mieście. Józef Skrobiński zmarł 26 stycznia br. Stwierdziliśmy, że kultura Łodzi poniosła tym samym dotkliwą stratę wydaje się najbardziej właściwe.

A.M.



Foto: A. Wach

KRONIKA KULTURALNA

Rozstrzygnięty został konkurs o udzielenie zgody na druk zwrócił się do autora za pośrednictwem „Zajku”, Zarząd Polskiego Związku Niewidomych. Warto dodać, że jeszcze w tym roku ukaże się piąte już wydanie „Przy szabaszowych świątkach” Saffina w nakładzie... 100 tysięcy egzemplarzy. Na kolejnym Ogólnopolskim Przeglądzie Plakatów Muzealnych i Ochrony Zabytków w Przemyslu duży sukces odniosły plakaty przedstawione przez Muzeum Historii Miasta Łodzi. Zestaw plakatów Pawła Udorowieckiego i Jakuba Erola — reprezentujący tę placówkę — otrzymał specjalny dyplom imprezy. Równocześnie P. Udorowiecki zdobył i nagrodę ministra kultury i sztuki za plakat do stałej ekspozycji pn. „Z dziejów Łodzi”, która zostanie niebawem zorganizowana przez Muzeum Historii Miasta Łodzi. W Rzymie otwarta została wystawa pn. „Awangarda polska 1918 — 1978”, na którą złożyły się m. in. zbiory łódzkiego Muzeum Sztuki. Wystawę otwiera prace Stanisława Ignacego Witkiewicza, z uzupełniając pokaz polskiej sztuki eksperymentalnych. W sobotę, 17 lutego br. niecodzienna impreza w Łodzi — Pier-

wszy Ogólnopolski Zjazd Adwokatów — Pisarzy — Literatów — Publicystów i Dziennikarzy... W programie Zjazdu zorganizowanego przez Ośrodek Badawczy Adwokatów i Radę Adwokacką w Łodzi, m. in. wwręczenie odznaczeń oraz prelekcja na temat: „Adwokat jako literat, publicysta, dziennikarz, wybrane zagadnienia z zakresu zaborów” wygłoszona przez adw. dr Romana Lęczyzka. W II części Zjazdu — otwarcie „Wystawy dorobku literackiego, publicystycznego i dziennikarskiego adwokatów”. Dorywcza akcja prezentowania czołownikom najciekawszych przedstawień sezonu teatralnego pn. „Co tydzień teatr” rozpoczął „Głos Robotniczy”. Akcja jest jedną z trzech corocznie odbywających się imprez teatralnych pod patronatem „GR”, których finał przypada na Międzynarodowy Dzień Teatru. Akcja „Co tydzień teatr” rozpoczęła się 31 stycznia przedstawieniem „Zeńsity” Aleksandra Fredry w reżyserii Kamiliery Dejmki. Jako druga zaprezentowano — w dniu 7 lutego — inscenizację „Opowieści zimowej” Szekspira w reż. Krystyny Skuszanki, także w Teatrze Nowym.

raz trzech odbyły się w Teatrze Nowym „Wieczory rodzinne”. Tym razem czytelnicy — widzowie obejrzeli „Cień” Władysława Młynarskiego w reż. K. Dejmki. Odbyło się tradycyjne losowanie upominków ufundowanych przez organizatorów. Na wystawie rysunków satyrycznych Andrzeja Tyliczńskiego, Andrzeja Adamowicza i Jana Zielińskiego zaprasza łódzki „Klub Dziennikarza” (ul. Piotrkowska 96). Natomiast w Klubie Pracowników Politechniki Łódzkiej przy ul. Zwirki 36 czynna jest wystawa malarstwa Jana Wodzyńskiego, cenionego twórcy mieszkającego w Warszawie. Obrazy tego malarza cieszyły się dużą popularnością już w okresie międzywojennym, był on członkiem grupy artystycznej „Przymat”, profesorem warszawskiej ASP. Wystawą tego znanego kolorysty Rada Zakładowa PE kontynuuje swoją godną podkreślenia działalność upowiecznielową w środowisku technicznym. Bardzo się przejęli telewizyjnym seriałem „Ślad na ziemi” kierownicy z łódzkiej elektrociepłowni nr 3. Uprzejmi oni haldami popiołu nowo otwarte osiedle łódzkie — na Radogoszczu. Stało się to tego samego dnia, kiedy w nowych blokach pojawił się — w aurze dość

uroczyste — pierwszy lokatorzy. Kierowcom bliżej na nowe osiedle, niż na stare wysypisko. Jak informuje „Dziennik Popularny” — kierownicy „Ślady swoje pozostawiały w postaci „Dziennikiem”. Wiadomość — jako godny „Kroniki kulturalnej miasta Łodzi” przykład inspirowania się sztuką telewizyjną... W imieniu Koła Związku Bojowników o Wolność i Demokrację w Gałkowie Dużym zwracamy się z

prośbą o podanie do wiadomości na łamach „Odgłosów”, że członkowie Koła na zebraniu w dniu 21.1.br. uchwalili oraz zebrał zł 550 na rzecz rewaloryzacji zabytków Krakowa, wzywając jednocześnie wszystkie koła w kraju do podejmowania podobnych czynów. Wyżej wymieniona kwota została przekazana w dniu 26.1.1979 r. na konto Zarządu Rewaloryzacji Zabytków Krakowa. R. KAMIŃSKI Koło ZBoWiD w Gałkowie Dużym

NOWI CZŁONKOWIE ZLP

W dniu 9 lutego br. Zarząd Główny ZLP przyjął w szeregi Związku Literatów Polskich: Agnieszkę BARŁÓG, Tadeusza BŁĄŻEJWSKIEGO, Stanisława CIEŚLAKA, Henryka HARTENBERGA, Zbigniewa KUCHOWICZA i Henryka PUSTKOWSKIEGO.

Nowym członkom oddziału łódzkiego ZLP serdecznie gratulujemy.

odgłosy

Redaguje kolegium: JERZY WAWRZAK (redaktor naczelny), WŁODZIMIERZ STOKOWSKI, LUCJUSZ WŁODKOWSKI (zastępcy redaktora naczelnego), JERZY KATARASIŃSKI (sekretarz redakcji) oraz zespoły: RYSZARD BINKOWSKI, KONRAD FREIDLICH, EUGENIUSZ IWANIKI, BOGDA MADEJ, ANDŹEJ MAKOWICZ, WŁODZIMIERZ PARYS (fotoreporter), JERZY RZYŃKOWSKI, TOMASZ SOLDENHOFF, GRAZYNA SZYPOWSKA (redaktor techniczny). Stałe współpracują: JAN BABIŃSKI, ANDRZEJ BŁAJER, TADEUSZ BŁĄŻEJWSKI, TADEUSZ CHROŚCIELEWSKI, ANDRZEJ F. GRABEŃ, WŁODZIMIERZ KRZEMIŃSKI, ANDRZEJ MAJER, ZBIGNIEW S. NOWAK, EWA NURCZYŃSKA, WŁADYSŁAW ORŁOWSKI, JERZY PANASEWICZ, EWA PANKIEWICZ, KRYSZTOF POGORZELEC, WITOLD ŚLAWSKI, TADEUSZ SZCZEPANIKI, JANUSZ SZYMANSKI-GLANC, JERZY URBANKIEWICZ, JERZY WILMAŃSKI.

Dalszy ciąg ze str. 1

◀ stworzenie odpowiednich warunków we wszystkich krajach socjalistycznych do urzeczywistnienia programów rozwoju przemysłu tych państw;
 ▶ realizacja ogólnych celów ideowo-politycznych krajów socjalistycznych.

ETAPY ROZWOJU

Tak ujętym czynnikiem, najpierw wąsko praktycznym, a następnie znacznie rozszerzonym — w miarę rozwoju ekonomik poszczególnych krajów socjalistycznych i całej wspólnoty — towarzyszyły przemiany w celach stawianych sobie przez RWPG. W pierwszym więc etapie — obejmującym z grubsza biorąc lata 1949—1962 — chodziło głównie o „wymianę doświadczeń gospodarczych, udzielenie wzajemnej pomocy technicznej, w surowcach, żywności, maszynach i urządzeniach przemysłowych”.

Drugi etap, przypadający na okres lat 1962—1971, wyznaczony jest sformułowaną na XV sesji RWPG zasadą „międzynarodowego socjalistycznego podziału pracy”, który ma służyć — poprzez koordynację i połączenie wysiłków krajów członkowskich — najbardziej racjonalnemu wykorzystaniu ich bogactw natural-

ko, systematycznie, co jest szczególnie istotne i warte podkreślenia w warunkach recesji gospodarczej, która dotyka po dzień dzisiejszy najbardziej rozwinięte kraje Zachodu. Tak więc, dla przykładu w latach 1960—1977 wytworzony w NRD dochód narodowy (liczony w cenach stałych) zwiększył się ze 100 do 217, w CSRS — do 219, w Bułgarii — do 346, w Rumunii — 460, a podobne rezultaty średnio biorąc uzyskali także Węgry, Polska i ZSRR.

KIERUNEK — POSTĘP TECHNICZNY

Gdy analizuje się wysiłki krajów RWPG w rozwijaniu potencjału ekonomicznego, wytwórczego, musi uderzyć każdego — nawet powierzchownego obserwatora — pewna szczególna cecha tych poczynań. Otóż w tym właśnie rozwoju preferowane były te dziedziny produkcji czy też wyroby, które mają decydujący wpływ na dalszy postęp, szczególnie techniczny całej gospodarki. Dotyczy to np. produkcji energii elektrycznej, bez której oczywiście nie może być mowy o dalszym podnoszeniu poziomu wytwórczości. Już w roku 1974 — pierwszym po zalamaniu się światowego rynku ropy — państwa RWPG wyprodukowały o 8 proc. energii elektrycznej więcej niż w roku

poprzednim, a ich udział w światowym wzrósł do 20 proc.

Rozległe rozwijano inne dziedziny produkcji, najbardziej nośne z punktu widzenia technicznego i gospodarczego, takie jak elektrotechnika, chemia, atomatyka, produkcja najbardziej skomplikowanych maszyn, przy czym poważne sukcesy osiągnięto zarówno przez wykorzystanie własnej myśli technicznej, naukowej, zakup licencji, jak i umiejętne wykorzystanie możliwości płynących ze specjalizacji i kooperacji stosowanych w ramach zintegrowanej wspólnoty krajów RWPG. „Die Wirtschaft” tak to ocenia:

„Postępy osiągnięte w zakresie specjalizacji i kooperacji prowadzą do tego, że coraz większa część wzajemnej wymiany towarowej ustala się długofalowo w formie dwu- względnie wielostronnych porozumień na temat specjalizacji. Rezultatem tego jest koncentracja i zwiększenie produkcji.

Coraz bardziej intensywna jest współpraca przy rozwiązywaniu naukowo-technicznych zadań badawczych.

Ze wspólnych decyzji podjętych w ostatnim okresie, których celem jest perspektywiczne zabezpieczenie potrzeb wspólnoty RWPG w zakresie paliw oraz surowców, należy tu wymienić zawarcie generalnego porozumienia o budowie gazociągu z Orenburga, wspólny rozwój produkcji rud żelaza i rozmaitych stopów żelaza na terytorium Związku Radzieckiego, a także rozbudowę wspólnej sieci energetycznej, co ma szczególne znaczenie wobec istniejącego w skali ogólnoswiatowej problemu paliwowego i surowcowego. Decyzje te tworzą fundament statycznego i dynamicznego wzrostu gospodarczego RWPG również w przyszłości”.

Ze wspólnych decyzji podjętych w ostatnim okresie, których celem jest perspektywiczne zabezpieczenie potrzeb wspólnoty RWPG w zakresie paliw oraz surowców, należy tu wymienić zawarcie generalnego porozumienia o budowie gazociągu z Orenburga, wspólny rozwój produkcji rud żelaza i rozmaitych stopów żelaza na terytorium Związku Radzieckiego, a także rozbudowę wspólnej sieci energetycznej, co ma szczególne znaczenie wobec istniejącego w skali ogólnoswiatowej problemu paliwowego i surowcowego. Decyzje te tworzą fundament statycznego i dynamicznego wzrostu gospodarczego RWPG również w przyszłości”.

Ze wspólnych decyzji podjętych w ostatnim okresie, których celem jest perspektywiczne zabezpieczenie potrzeb wspólnoty RWPG w zakresie paliw oraz surowców, należy tu wymienić zawarcie generalnego porozumienia o budowie gazociągu z Orenburga, wspólny rozwój produkcji rud żelaza i rozmaitych stopów żelaza na terytorium Związku Radzieckiego, a także rozbudowę wspólnej sieci energetycznej, co ma szczególne znaczenie wobec istniejącego w skali ogólnoswiatowej problemu paliwowego i surowcowego. Decyzje te tworzą fundament statycznego i dynamicznego wzrostu gospodarczego RWPG również w przyszłości”.

PROGRAM PODPORZĄDKOWANY CZŁOWIEKOWI

Jest rzeczą niezmiernie ważną, że ten rozwój, szczególnie w czterech ostatnich latach, był podporządkowany jednemu celowi: poprawie warunków życia społeczeństw krajów RWPG. Dało to o sobie znać takimi

posunięciami, jak poważny wzrost produkcji towarów konsumpcyjnych, a nawet przesunięcie ciężaru inwestycji na te gałęzie przemysłu, które pracują na rzecz rynku, potrzeb konsumpcyjnych. Towarzyszyła temu odpowiednia polityka w dziedzinie kształtowania płac. Biorąc jako całość — w krajach RWPG wzrastały one średnio biorąc od 4 do 5 proc., przy czym myślimy tutaj o płacach realnych. Odpowiednikiem takiego stanu rzeczy był wzrost obrotów handlu detalicznego na rynku RWPG, szacowany tylko w skali jednego roku od 6 do 15 proc. Socjalistyczny konsument znajdował w sklepach więcej towarów.

Czy znaczy to, że kraje RWPG nie miały swoich trudności?

Oczywiście były i występują nadal. Uwidoczniły się w pewnych grupach towarów konsumpcyjnych, w funkcjonowaniu pewnych dziedzin gospodarki i zarządzania, co dawało o sobie znać nadmierną materia-

lowego współdziałania, przede wszystkim w ramach RWPG, wskazywały na jakże cenną ich właściwość, skuteczność dla osiągania stawianych przed polską gospodarką celów rozwojowych. Nie inaczej przecież tylko właśnie w taki sposób udało nam się znacznie szybciej, gdybyśmy to robili wyłącznie własnymi siłami — rozwinąć wiele niezwykle ważnych dla całej krajowej gospodarki dziedzin wytwarzania, że dla przykładu wymienimy tylko niektóre z nich, a więc:

◀ współpraca polskich fabryk z radzieckim przemysłem maszyn budowlanych doprowadziła w rezultacie do znacznego powiększenia produkcji, unowocześnienia, a wzajemna specjalizacja sprawiła, że jesteśmy dziś na rynku radzieckim — i nie tylko tam — w wielu rodzajach tych urządzeń prawdziwymi potentatami.

◀ koncepcja z jednej strony, a specjalizacja z drugiej, pozwoliły

jak również z krajami trzecimi, jest charakterystyczny dla ostatnich 5—6 lat, nie tylko w odniesieniu do Polski, ale również dla pozostałych członków wspólnoty socjalistycznej. Ugruntowało się po prostu, oparte na racjonalnych przesłankach przekonanie, że razem można znacznie szybciej i łatwiej pokonywać wiele barier naukowych, technicznych, a wręcz finansowych, przy czym ta ostatnia sprawa nie jest wcale bagatelna. Jeszcze jeden przykład na poparcie tego stwierdzenia. Do końca 1976 kraje należące do RWPG zawarły blisko 30 wielkich porozumień kooperacyjnych w dziedzinie produkcji przemysłowych. Miało to też swój skutek w dziedzinie handlu zagranicznego, bowiem umowy przewidują znaczny wzrost eksportu oraz importu wyrobów produkowanych w ramach umów kooperacyjnych oraz specjalizujących wytwórczość. Chodziło m. in. o dostarczenie w latach 1971—1976 ponad 500 tysię-



Foto: Archiwum

W DZIESIĄTKĘ

nych, realizacji wspólnych przedsięwzięć inwestycyjnych i produkcyjnych dla osiągnięcia możliwie najwyższego rozwoju gospodarczego. Na i wreszcie kolej na trzeci etap działania RWPG, zapoczątkowany w roku 1971 i do tej pory trwający. Wyznacza go kompleksowy program dalszego pogłębiania i doskonalenia współpracy oraz socjalistycznej integracji krajów członkowskich RWPG. Zauważmy, po raz pierwszy w roku 1971, a więc w 22 lata od powstania RWPG pada słowo integracja. Zaczynamy więc mieć do czynienia z głęboko zachodzącymi procesami tak w sferze produkcji, jak i obrotu, prowadzającymi w konsekwencji do splecenia się poszczególnych gospodarek narodowych, tworzenia się — z drugiej strony — samodzielnego organizmu ekonomicznego w całości kształcącej gospodarki światowej.

KONSEKWENCJE

Po przypomnieniu owej drogi stopniowego rozwoju samej Rady Wzajemnej Pomocy Gospodarczej, a wewnątrz tej organizacji poszczególnych krajów członkowskich, warto postawić pytanie o polityczno-gospodarcze konsekwencje faktu powołania przed 30 laty gospodarczej organizacji państw socjalistycznych.

Niewątpliwie odpowiedź należy zacząć od stwierdzenia, iż RWPG uchroniła młode kraje demokracji ludowej od skutków podjętej przez Zachód próby ograniczenia ich rozwoju i zahamowania przeobrażeń społecznych i gospodarczych. Bezsporne — w świetle podanych choćby tutaj wskaźników — jest też szybkie zwiększenie potencjału ekonomicznego, jego roli w światowej gospodarce, co stało się między innymi drogą wyrównywania poziomu ekonomik poszczególnych krajów członkowskich RWPG. Trzeba tutaj zauważyć, iż mimo że był i jest to proces nielatywny, przebiegał on niezmiernie szyb-

ciennie szybko wprowadzając nasz przemysł okrętowy do światowej czołówki.

◀ Dzięki porozumieniom kooperacyjnym podjęliśmy w polskim przemyśle chemicznym produkcję różnych wyrobów, bez których trudno mówić o nowoczesnym gospodarowaniu.

◀ Równie owocna była współpraca krajów socjalistycznych w dziedzinie przemysłu lekkiego, a szczególnie tekstylnego i dziewiarskiego. Za pośrednictwem Stałej Komisji Przemysłu Lekkiego RWPG doprowadzono do zakończenia badań nad wieloma procesami technologicznymi z zastosowaniem nowych włókien chemicznych, stworzono projekt kompleksowo zmechanizowanej fabryki przędzalniczo-tkackiej, rozwiązano praktycznie szereg problemów warunkujących budowę „fabryk automatów” wyposażonych w pneumatyczno-mechaniczne maszyny przędzalnicze, rozwiązano kilka zagadnień wiążących się z nowoczesną produkcją sztucznych skór oraz obuwia, a ostatnio określono podstawowe kierunki rozwoju przemysłu lekkiego w krajach należących do RWPG.

Są to oczywiście tylko wybrane przykłady. Ten proces przywiązywania coraz większej wagi do współdziałania między państwami socjalistycznymi w ramach RWPG.

Razem — w ramach RWPG — zdołaliśmy więc szybciej i lepiej wykorzystać szanse stworzenia przez socjalistyczne procesy integracyjne, a dziś, gdy za krajami Rady Wzajemnej Pomocy Gospodarczej jest 30 lat dorobku, przymerzamy się do realizacji nowych zamysłów, które tylko do roku 1980 powinny przynieść odwołanie do użytku 28 wielkich międzynarodowych przedsięwzięć gospodarczych, rozszerzających i umacniających wielostronną socjalistyczną integrację. Udział Polski w tych zamierzeniach jest ważnym czynnikiem rozwoju całej wspólnoty, a realizacja całego programu ułatwia nam osiągnięcie społeczno-gospodarczych celów wytyczonych w uchwałach VII Zjazdu PZPR.

chłonnością urządzeń przemysłowych, zbyt długim okresem realizacji inwestycji, co obciążało nadmiernie gospodarkę poszczególnych krajów RWPG. Ale i to nie przeszkodziło krajom RWPG do bilansowania swoich osiągnięć w taki sposób jak to przedstawiłmy. Dostrzegają to niezbyt nam przyjaźni obserwatorzy, nawet w takich dziedzinach, w których do niedawna rzeczywiście byliśmy „kopciuszkiem”.

POLSKIE „PODWÓRKO”

Należy przede wszystkim zauważyć, że w tej „konkurencji”, jeśli tak można powiedzieć o współpracy ekonomiczno-technicznej, w wymiarze wychodzącym poza krąg państw należących do Rady Wzajemnej Pomocy Gospodarczej, liczymy się od niedawna, bo w skali spraw ekonomicznych o których będzie tutaj mowa 5—6 lat to bardzo niewiele. W dodatku nasze pierwsze kroki w dziedzinie kooperacji międzynarodowej były bardzo nieśmiałe, tak że jeśli dochodziło do wskazywania na konkretne jej przejawy, na „tapetę” — jak to się mówi — wchodziły właściwie te same obiekty, a lista ich nie była zbyt obszerna. Faktem jest jednak, że już te pierwsze nasze doświadczenia w dziedzinie między-nar-

oświadczenia w dziedzinie międzynarodowej, które do niedawna rzeczywiście byliśmy „kopciuszkiem”.

Należy przede wszystkim zauważyć, że w tej „konkurencji”, jeśli tak można powiedzieć o współpracy ekonomiczno-technicznej, w wymiarze wychodzącym poza krąg państw należących do Rady Wzajemnej Pomocy Gospodarczej, liczymy się od niedawna, bo w skali spraw ekonomicznych o których będzie tutaj mowa 5—6 lat to bardzo niewiele. W dodatku nasze pierwsze kroki w dziedzinie kooperacji międzynarodowej były bardzo nieśmiałe, tak że jeśli dochodziło do wskazywania na konkretne jej przejawy, na „tapetę” — jak to się mówi — wchodziły właściwie te same obiekty, a lista ich nie była zbyt obszerna. Faktem jest jednak, że już te pierwsze nasze doświadczenia w dziedzinie między-nar-

oświadczenia w dziedzinie międzynarodowej, które do niedawna rzeczywiście byliśmy „kopciuszkiem”.

Należy przede wszystkim zauważyć, że w tej „konkurencji”, jeśli tak można powiedzieć o współpracy ekonomiczno-technicznej, w wymiarze wychodzącym poza krąg państw należących do Rady Wzajemnej Pomocy Gospodarczej, liczymy się od niedawna, bo w skali spraw ekonomicznych o których będzie tutaj mowa 5—6 lat to bardzo niewiele. W dodatku nasze pierwsze kroki w dziedzinie kooperacji międzynarodowej były bardzo nieśmiałe, tak że jeśli dochodziło do wskazywania na konkretne jej przejawy, na „tapetę” — jak to się mówi — wchodziły właściwie te same obiekty, a lista ich nie była zbyt obszerna. Faktem jest jednak, że już te pierwsze nasze doświadczenia w dziedzinie między-nar-

oświadczenia w dziedzinie międzynarodowej, które do niedawna rzeczywiście byliśmy „kopciuszkiem”.

Należy przede wszystkim zauważyć, że w tej „konkurencji”, jeśli tak można powiedzieć o współpracy ekonomiczno-technicznej, w wymiarze wychodzącym poza krąg państw należących do Rady Wzajemnej Pomocy Gospodarczej, liczymy się od niedawna, bo w skali spraw ekonomicznych o których będzie tutaj mowa 5—6 lat to bardzo niewiele. W dodatku nasze pierwsze kroki w dziedzinie kooperacji międzynarodowej były bardzo nieśmiałe, tak że jeśli dochodziło do wskazywania na konkretne jej przejawy, na „tapetę” — jak to się mówi — wchodziły właściwie te same obiekty, a lista ich nie była zbyt obszerna. Faktem jest jednak, że już te pierwsze nasze doświadczenia w dziedzinie między-nar-

KRZYSZTOF POGORZELEC

NIE TYLKO HISTORIA

Wychodząca pod redakcją Stanisława Kalabińskiego seria wydawnicza „Polska klasa robotnicza. Studia historyczne”, dojdzie niebawem do dziesiątku tomów. W ostatnich dniach minionego roku pojawił się bowiem jej tom VIII (PWN, 1978), zapowiedziano także i następny — dziewiąty. Nie trzeba tu przypominać, jak istotne miejsce seria ta zajęła w rozwoju naszych współczesnych badań historycznych. Skupiła ona wokół siebie liczne grono historyków ze wszystkich ośrodków naukowych kraju, stworzyła platformę zarówno dla prezentowania wyników zakończonych już badań, jak i wstępnych rezultatów prac, będących jeszcze w toku. Nie tylko przyczyniła się do ożywienia i rozwoju badań nad historią klasy robotniczej, ale ułatwiła — otwierając swe łamy dla wypowiedzi dyskusyjnych, postulujących nowe kierunki badawczych poszukiwań — znaczne ich rozszerzenie, a zarazem unowocześnienie. Wszystko to sprawiło, że poszczególne tomy serii „Polska klasa robotnicza”, stworzonej przez tak znakomitego uczonego, jak Stanisław Kalabiński, spotkały się z żywym odzewem daleko przekraczającym środowisko historyczne, zarówno w naszym kraju, jak za granicą. Bez żadnej przesady można bowiem powiedzieć, że dzięki tej serii oraz ambitnym opracowaniom syntetycznym — o których pisaliśmy niedawno na tym miejscu — okazało się, jak dalece nasza nauka historyczna wyprzedziła — co się tyczy badań nad zagadnieniami działań klasy robotniczej — analogi-

czne prace, prowadzone w innych krajach. Podobnie, jak poprzednie, również i VIII tom serii „Polska klasa robotnicza”, przynosi szeroki wachlarz problematyki. Otwiera go rozprawa Stanisława Michalkiewicza dotycząca aktywności społeczno-politycznej klasy robotniczej na Górnym Śląsku w okresie do 1889 r.; opublikowano tu tylko pierwszą część tego obszernego studium, które zostanie doprowadzone

ski w latach 1921—1931. Elementy struktury demograficznej, składu wyznaniowego i narodowościowego”, stanowiącą kontynuację szeroko zakrojonych, częściowo znanych nam z poprzednich tomów serii badań autora nad zagadnieniami struktury klasy robotniczej w Polsce w okresie II Rzeczypospolitej. Grupę prac, inicjujących nowe kierunki poszukiwań, otwiera w omawianym tomie szkic Ja-

wackiego zatytułowana: „Żywot robotnika w pieśni”. W oparciu o bogaty materiał źródłowy, odwołując się do niezmiernie interesującej egzemplifikacji, uczonej starą się uzasadnić — jak powiada — „przekonanie, że ten rodzaj źródła — jakim jest pieśń robotnicza — może oddać nieocenione usługi w poznaniu i odtworzeniu różnych zjawisk z życia robotników”. Historyk pokusił się tu jednocześnie o próbę usystematyzowania całego „materiału pieśniowego, jaki do środowiska robotniczego docierał, jaki w nim się przekształcał lub rodził, towarzysząc jego życiu i zarazem to życie dokumentując”. Z kolei francuska badaczka Janine Ponty opublikowała w omawianym tomie szczegółowe studium demograficzne „Społeczność polska w Sallaumines (Pas-de-Calais, Francja) w latach 1921—1946”, zaś Stanisław Meducki ogłosił rozprawę „Robotnicy przemysłowi w Generalnym Gubernatorstwie (1939—1945)”. Bogaty w treść tom kończy studium Jana Kazimierza Sawickiego o robotnikach w szeregach PZPR w województwie gdańskim w latach 1948—1970.

Tyle na razie o treści tomu VIII serii „Polska klasa robotnicza”, który pojawił się właśnie na półkach księgarskich. W niedalekiej przyszłości powrócimy do niektórych, zawartych w nim prac, aby podyskutować o omawianych w nich zagadnieniach.

ANDRZEJ F. GRABSKI

U ŹRÓDEŁ

do 1918 r. Z kolei Jan Rusnok zaprezentował czytelnikom analityczną pracę o założeniu huty trzynieckiej w okresie 1839—1913. Huta ta, należąca dzisiaj do czołowych zakładów czarnej metalurgii w Czechosłowacji, powstała przed stu czterdziestu laty na Śląsku Cieszyńskim i aż do podziału tego obszaru w 1920 r. — jak stwierdza autor — jej załoga miała charakter polski. Autor tego studium zajął się dziejami kształtowania się załogi oraz kadrowego zaplecza zakładu. Zrodłem, na którym się oparł, były księgi personalne, „do których wpisywano pracowników przyjmowanych do pracy, zawierające wiele podstawowych danych o każdym zarejestrowanym pracowniku”. Następnie Ludwik Haas zamieścił obszerną opracowanie pt.: „Klasa robotnicza Pol-

nusza Żarnowskiego pt.: „Kultura pracy klasy robotniczej w Polsce okresu międzywojennego”, stanowiący — w rozumieniu jego autora — „ledwie zagajenie dyskusji” nad zagadnieniami, które dotychczas nie znajdowały się w centrum zainteresowania historyków. Zaproponowany przez autora „rekonstruktoryczny” sposób na sformułowanie konkluzji, mianowicie, że „badając korzenie współczesnej polskiej kultury pracy zwrócić się trzeba ku dziejom przedwojennej polskiej klasy robotniczej, i to przede wszystkim jej podstawowej, przemysłowej, a zwłaszcza wielkoprzemysłowej części”.

Na zainteresowanie szerokiego kręgu czytelników zasługują z pewnością rozprawa dobrze znanego nam badacza Władysława Lecha Kar-

1

Dalszy ciąg ze str. 1



Mówi Anna Batory, plastyk z „Juventusu”:

— Moda na kolor khaki, która o-garnęła świat w roku ubiegłym, wzięła swój początek ze stylu „Safari” i przyszła do nas z Zachodu. Jej geny należy szukać w nasła-downictwie mody militarnej, w szczególności mundurów Legii Cudzo-ziemskiej (np. ten sezon rozpoczyna się pod znakiem tzw. „panterek”). Lecz kolor khaki szybko się przeżył, teraz ozdabia się go dodatkami ze skóry, ale coraz mniej pojawia się go już w handlu. W modę wchodzi tkaniny o naturalnych kolorach (takie jak len), a także ubrania (takie jak bawełnianych w zdecydowanych, ostrych kolorach).

Mówi Anna Mospinek, szef marke-tingu z „Juventusa”:

— Życzyłabym sobie, aby wieluń-ska „Wespo” szyla tylko i wyłącznie dla nas. Jest to najbardziej słowny, wyrozumiały i dokładny krawiec. Dla „Wespo” nie ma rzeczy niemo-żliwych: każda nasza sugestia jest natychmiast brana pod uwagę. Trud-no w to uwierzyć, ale w praktyce wygląda to tak: dziś zamówienie — jutro gotowy produkt. „Juventus” mógłby w pewnych asortymentach złożyć do „Wespo” takie zamówienia, że cała ich produkcja znalazłaby się na naszych ładach. Niestety, nie od nas to zależy, choć możemy dać za-trudnienie całej załodze spółdzielni na wiele lat. Na rok bieżący zamówi-liśmy z własnych materiałów i we-dług własnych projektów bieliznę dziewczęcą, spodnie i bluzki, wdzianka, spodnie, sukienki, pelery-ny i kamizelki z „panterki”, koszule kowbojskie z drelchu i płótna żgło-wego. Tylko w I kwartale br. prze-kazujemy do „Wespo” 150 tys. m tkanin do przerobu.

Mówi Julian Florezak, kierownik stoiska z artykułami odzieży męskiej w „Juventusie”:

— Nie możemy nastarczyć, bo lu-dzie przez cały dzień oblegają nasze stoisko. My z „Wespo” otrzymujemy około 80 proc. wszystkich spodni, w cenie do 300 zł za sztukę (podobne z elany kosztują ok. 1000 zł). Oczy-wiście, że nie sama młodzież przy-chodzi, często ludzie starsi, bowiem „Wespo” szyje solidnie i do tego modnie. W samym tylko roku ubie-głym sprzedawałem miesięcznie do tysiąca sztuk spodni, a w ciągu ro-ku w naszym domu towarowym lo-dzianie kupili ich ponad 80 tys. sztuk. To najlepsza wizytówka dla krawców z Wielunia.

Początki kariery

W 1949 roku powołano w Wielu-niu Pomocniczą Spółdzielnię Szew-ców i Cholewkarzy, do której przy-stąpiło zaledwie 25 członków. Jak z tego widać początki były skromne i nie miały nic wspólnego z konfek-cją. Ta przyszła dopiero trzy lata później, ale też nie stała się główną dziedziną produkcji. Właściwie ro-biono tu wszystko: wyrabiano obu-wie, sztyto konfekcje lekką i ciężką, świadczone usługi przemysłowe i nie-przemysłowe. Niestety nie były to lata pełne chwali, bowiem rzemie-slnicy niechętnie przystępowali do spółdzielni. Dopiero kolejne reorgani-zacje poważne środki inwestycyj-ne, budowa własnych domów miesz-kalnych dla pracowników, kina, pa-wilonu, usługowo-produkcyjnego, sta-cji obsługi samochodów, a także za-kup szeregu maszyn i urządzeń, po-woduje szybki rozwój ówczesnej Po-wiatowej Spółdzielni Wielobranżo-wej prowadzącej szeroką działalność usługowo-produkcyjną. M. in. świad-czy się tu usługi szewskie, rymarskie, kaletnicze, czapnicze, wyprawia się skóry, reperuje włeczne płóta i na-pełnia długopisy, szkli szyby, robi beczki, konserwuje gaśnie, reperuje samochody i zegarki; fryzjerzy gola, strzygą i kreca loki, krawcy szyją płaszcze, sukienki i spodnie. Jest to więc dość duży organizm bez jakiejś konkretnej specjalizacji, choć speł-niający potrzebne i konkretne funk-cje na terenie powiatu.

Mówi Mieczysław Strzala, prezes „Wespo”:

— W wyniku kolejnych reorgani-zacji (1972 r.) Powiatowa Spółdziel-nia Pracy Usług Wielobranżowych rozpoczęła budowę zakładu odzieżo-wego oraz nowej Stacji Obsługi Sa-mochodów. Jest to poważny krok, który zaważył na późniejszej „Wes-po”. Trzy lata później, na skutek re-organizacji administracyjnej kraju, powołano Wojewódzką Usługową Spółdzielnię Pracy w Sieradzu, któ-ra przejęła działalność spółdzielni wielobranżowych w Łasku, Poddęb-cach, Sieradzu, Wieluniu i Zdunskiej Woli.

Z działalności Woj. Sp. Usługowej wydzielono trzy zakłady produkcji o-dzieży lekkiej, tj. zakład w Łasku, Widawie i oddany do użytku w czer-wcu 1976 roku nowy zakład w Wieluniu. Te trzy zakłady legły u podstawy Odzieżowej Spółdzielni Pracy „WESPO”, która początkaj

od listopada 1976 roku stała się jed-nym z tych zakładów konfekcyj-nych w kraju, o których się mówi jako o zakładach dobrej roboty.

Na początek krzesło...

Kiedy powołano „Wespo”, sytuacja przypominała trochę czasy biblijnego stworzenia świata: nie było nic, by-ła jedynie myśl i dobre chęci. Budo-wany oddział konfekcji byłej spół-dzielni wielobranżowej miał być oddziałem czysto produkcyjnym, ze średnim dozorem technicznym. Biur jako takich nie przewidywano. I na-gle — powołuje się samodzielnny or-ganizm „Wespo”! Prezes Mieczysław Strzala tak wspomina:

— Była to dość szczególna sytu-acja: możemy produkować, lecz nie możemy pracować organizacyjnie, bowiem nie posiadaliśmy biur, tele-fonów, szaf, krzesłek, zaplecza go-spodarczego. Praktycznie należało wszystko zaczynać od przysłowiowe-go zera. Ja, jako wyróżnienie, otrzy-małem z przydziału jedno drewniane krzesło i ławę, która służyła za biurko. Były to czasy ciężkie i skom-plikowane: z jednej strony należało pamiętać, aby produkcja odbywała się bez zakłóceń, z drugiej — sporo wysiłku zajmowała strona organiza-cyjna samego zakładu.

EUGENIUSZ IWANICKI

WESPO

modnie i praktycznie

Należało jak najszybciej pozbyć się Stacji Obsługi Samochodów, którą w końcu przejęła Wojewódzka Spół-dzielnia Usług Motoryzacyjnych w Sieradzu. Od razu też przystąpiono do pertraktacji o wykup prywatnego budynku i baru pozostawionego przez ekipy budowlanych. W obu tych pomieszczeniach mieści się dziś administracja. Tak więc w ciągu 9 miesięcy sytuacja została opanowa-na: plany produkcyjne wykonane!

Jak zdobywa się rynek

Recepta na powodzenie jest jedna: dobra jakość wykonanej pracy oraz modny krój. W „Wespo” odkryto tę prawdę dość dawno. Jeszcze była powiatowa spółdzielnia wielobranżo-wa potrafiła nawiązać współpracę z warszawskimi Domem Towarowym „Centrum”, dla których kolekcje mody przygotowuje Barbara Hoff. Po-stawiono na krótkie serie, na modę „na dziś”, zrezygnowano z szycia powielanych wzorów. Dziś „Wespo” kontynuuje te dobre tradycje i zwy-czaje. Stąd uznanie u odbiorców zagranicznych, liczne zamówienia, kontakty, dowody uznania. A w kra-ju? Wystarczy pojechać do Warsza-wy albo odwiedzić stoiska w „Ju-ventusie”. Dyrektor Mieczysław Strzala i jego zastępczyni Janina Za-płotna skarżą się, że wyroby z „Wes-po” są przedmiotem niedopuszczal-nych praktyk handlowych stosowa-nych przez najrozmaitszych kombina-torów, którzy np. spodnie męskie w cenie do 300 zł sprzedają na tzw. czarnym rynku po 700 zł! Zdarza się także, że nieuczciwi handlarze naszy-wają na wyroby z „Wespo” różne taśmy z obco brzmiącymi nazwami, by sprzedawać te wyroby po cenach wielokrotnie wyższych. Jest to sprawa przykra i kłopotliwa, lecz świad-czy ona także na korzyść krojczych i krawców z wieluńskiej „Wespo”.

Rok ubiegły minął pod znakiem koloru khaki. Jak Polska długa i sze-roka chodziliśmy w zielonych drelch-ach, Barbara Hoff zaprojektowała słynną już kurtkę safari i do tego spodnie z dużą ilością kieszeni. Tu, w Wieluniu, szwaczki padły z nóg, by podjąć zamówienie. Rok bieżący

zapowiada się podobnie: z tejże sa-mej kolekcji będzie obowiązywać su-kienka i spodnie (komplet) z tkaniny robus w różnych kolorach; mały kołnierzyk, workowata sukienka, wąskie spodnie. Będzie to kolejny szla-gier na nadchodzący sezon wiosenno-letni.

Ile i dla kogo

Wyżej była mowa o propozycjach Barbary Hoff, jednakże tu, w „Wes-po”, działa prężna komórka wzoru-jąca, która z uwagą śledzi aktualne kierunki mody światowej, utrzymu-je kontakty z zagranicznymi kontra-hentami. Ale bardzo często domy to-warowe dostarczają własne modele i własne tkaniny (tak rob. rodzi „Ju-ventus”), dlatego nie można z całą pewnością powiedzieć, co stanie się wzorem nr 1 na najbliższe miesiące. Są jeszcze zamówienia na drelchy i welwet o kroju młodzieżowym, wy-chodzą z mody włókna sztuczne na rzecz bawełny.

Nadchodzący rok dla „Wespo” nie będzie łatwy, o czym niżej, jednakże na rynku znajdzie się 30 tys. sztuk sukienek, 23 tys. szt. spodni, 18 tys. szt. wdzianek, 143 tys. szt. spodni męskich i chłopcowskich, 30 tys. sztuk wdzianek męskich, 120 tys. szt. wy-robów gorseciarskich, a ponadto po-domki, bielizna pościelowa itp. Poważne ilości wyrobów przeznacza się na eksport (130 tys. sztuk) do Ho-landii, RFN, ZSRR i CSRS.

Na grudniowej Konferencji Samo-rządu Robotniczego bardzo poważnie zastanawiano się, skąd brać tkaniny, by sprostać zamówieniom. W roku ubiegłym na 1.189 tys. mb przerobio-nej tkaniny spółdzielnia otrzymała z przydziału 479 tys. mb, pozostałą ilość zmuszona była „załatwić” we własnym zakresie, nawiązując bezpo-srednie kontakty z zakładami produ-kującymi welwet, supertexpol czy supertexas.

Zresztą są kłopoty nie tylko z do-stawami tkanin. Podobnie z dodatka-mi. Hurtownie, w których zaopatrywano się dotychczas, zaczęły odma-wiać dalszych dostaw, tłumacząc się poważnymi brakami w tychże asor-tymentach. W grudniu ub. r. hurtowne całkowicie odmówiły sprzedaży.

Możliwość zaopatrywania się w przemyśle poza rozdzielnicami były coraz mniejsze, a obecnie zmalaty do zera. Zaszła więc konieczność poczynienia starań o przyjęcie „Wespo” do asortymentowego zrzeszenia branżo-wego, które jest koordynatorem sprzedaży oraz dystrybutorem mate-riałów. Mielimy nadzieję, że w wyni-ku tego posunięcia nadal będziemy otrzymywać modne i tanie wyroby sygnowane przez „Wespo”.

Guziki a jakość

W roku ubiegłym zaobserwowano dwa niepokojące objawy: obniżenie wskaźnika pierwszego gatunku wyro-bów oraz wzrost reklamacji. Stało się to powodem szczególnych badań i dociekań. Zestawiając kolejne lata produkcji w trzech zakładach oraz produkcję nakładczą, stwierdzono, że wszystkim jest winien zakład w Wieluniu. Analiza przyczyn wykaza-ła, że produkowane w tym zakładzie wyroby z texpolu, stilonu i tkaniny pościelowej mają jakość obniżoną, a czasami wręcz złą. Oczywiście złożo-no reklamacje, u producenta tkanin, za co „Wespo” uzyskała poważne od-szkodowanie. Niestety, nie satysfak-cjonuje to użytkownika zakupionych spodni czy wdzianka, który nadal będzie miał pretensje do krawca, a nie do wytwórcy tkanin. Podobnie ma się sprawa z guzikami przegubowy-mi, Galanteri Metalowej w Giucholazach oraz z zamkami błyskawicznymi. Producentci ci odpowiedzieli na moni-ty reklamacyjne wrzuceniem ram-ion. W tej sytuacji odwołano się do ekspertyzy laboratoryjnej Instytutu Mechaniki Precyzyjnej w Warszawie. Sprawa się wlokła. W końcu produ-cent guzików przyznał się do tego, że robi źle, że nie dba o jakość i że jest gotów ponieść konsekwencje swojej partanii. Lepiej późno, niż wcale.

Powolna modernizacja

Dobremu i szybkiemu krawcowi nie wystarczy dziś oko, „nos”, dobra organizacja pracy. Potrzebny jest no-woczesny park maszynowy. Przeszo-nej, wynikające z konieczności nap-raw i remontów wyeksploatowa-nych do granic możliwości maszyn, stanowią poważny procent w bilansie produkcyjnym.

— Zakupiliśmy 42 maszyny spe-cjalne i 36 maszyn podstawowych — mówi prezes Spółdzielni, Mieczysław Strzala. — Jest to poważny wzrost w stosunku do lat minionych, ale mimo wszystko ciągle to za mało. W czasie ubiegłorocznych urlopow do-konałmy przegląd i drobnych nap-raw wszystkich maszyn podstawo-wych jak i specjalnych. Na pierw-szy rzut oka wydawałoby się, że sprawa jest w zasadzie prosta: do remontu kapitalnego zgłoszono 2 ma-szyny, do średniego 4. Koszt tych napraw nie był nawet wielki, nieste-ty, dwie maszyny zgłoszone do na-

praw średnich musieliśmy odstawić, bowiem nie mamy do nich części za-miennych!

Maszyny podstawowe, tzw. stębn-ówki, sprowadza się z NRD, nato-miast specjalistyczne — z obszaru strefy dolarowej, m. in. z Japonii. Stąd poważne trudności z ich dosta-wami. Kiedyś stębnówki wytwarzano w Radomsku, lecz z jakichś powodów zanieschano produkcję. Odbiło się to na wielu zakładach krawiectw w kraju: przestarzałych, psujących się maszyn nie można ad hoc zastąpić nowymi, za które trzeba płacić w dewizach. Stąd małe, niewystarczają-ce przydziały, żmudne reperacje ro-latujących się „staruszek”, które dawno winny znaleźć się na złomowisku.

W najbliższej pięcioletce „Wespo” się rozbuduje, stanie nowa hala na 250 stanowisk. Wzrosną plany pro-ducyjne, przyjdą nowi ludzie. Jeśli jednak wymiana maszyn w starym zakładzie będzie nadal odbywać się w tym tempie, co dotąd, nie można będzie mówić o pełnym wykorzystaniu potencjału ludzkiego. Uwagi te kieruje do Krajowego Związku Spół-dzielni Odzieżowo-Włókienniczych, w gestii którego leży rozdział zarów-no stębnówek jak i maszyn specjal-istycznych.

Kiedy rozmawiałem ze szwaczka-mi, narzekały na te stare LZ-3, wypro-dukowane zaraz po wojnie, bardzo głośno, często psujące się, wymagają-ce nie lada wysiłku przy ich obsłu-dze, a przy tym mało wydajne i nie-bezpieczne, bo nie mające osłon za-bezpieczających koło pasowe. Praca w szwalni jest akordowa, na przesto-je nie ma czasu. Każda stracona mi-nuta to mniejszy zarobek, a one przyjeżdżają do tej spółdzielni z da-leka, częstokroć z wiosek położonych 25 km od Wielunia.

Mówi Janina Kucharek, szwaczka mieszkająca we wsi Masłowice, 7 km od Wielunia:

— Co się umęczym na tych LZ-3, to się umęczym. Na przykład teraz szyję i przyszywam kieszonkę — dziennie do 150 sztuk. Na tamtych starych, jak wyciągałam 100—120, to było wszystko. A przecież nie jestem nowicjuszka, pracuję tu 11 lat i po-trafię uszyć każdą rzecz, jaka jest potrzebna w krawiectwie. Akord jest dobrą rzeczą, bo co zrobisz, to jest, ale jak idą krótkie serie, nie na wie-le to się zdaje. Zanim się człowiek przyzwyczai, ułoży do pracy, już trzeba rzucić, zrobić coś innego.

Mówi Wanda Urbanek, szwaczka mieszkająca we wsi Skomlin, 15 km od Wielunia:

— Obecnie stębnuję boki przy spodniach na nowej maszynie „Juk”. To taka dwugłówkowa maszyna, co to ma dwie igły, czyli od razu są dwie stębnówki. Na tej maszynie robię 150—160 sztuk dziennie, nie to co na tamtych starych, gdzie trzeba było mieć silne mięśnie, by móc naciskać na pedały. Pyta pan, dlaczego nie przeniosę się do „Terpolu”, który powstał w Skomlinie, bo miałabym lepsze warunki pracy i nie b-oby tych dojazdów... Ano, przyzwyczaiłam się do „Wespo”, żyłam się z kole-żankami. W te mrozy, kiedy koczowało się drugą zmianę, często nie miałam czym wracać do domu, to spałam tu, w zakładzie. I tak już trwa przez sześć lat. Nie narzekam, bo są takie koleżanki, co mają do domu ponad 25 kilometrów, a potem od przystan-ku jeszcze muszą iść ze trzy, cztery kilometry. I też jakos trzymają się, pracują. Czasem zdarza się, że ktośś stąd odejździe, jak to było z jedną ze Skomlina. Ale jakoś zaraz powróciła, bo nie ma jak w „Wespo”...

Co się opłaca

Wspomniałem, że Wieluń nie ma tradycji przemysłu włókienniczego, choć był tu znakomity krawiec; część z nich wyjeżdżała aż na Śląsk, gdzie ceniono ich mistrzowskie umiejętności. Tradycja przemysłowa zrodziła się w czasach Polski Ludowej, a osiągnięcia w tej dziedzinie są dziś znane daleko poza granicami kraju. W „Wespo” do spraw dobrej roboty przywiązuje się dużo uwagi. W pro-gramie działania na rok bieżący spo-ro miejsca poświęca się szkoleniu i nauce zołgi. Zorganizowany zostanie kurs kwalifikacyjny na mistrza i czeladnika w zakresie krawiectwa lekkiego, nadal będzie się prowadzić szkolenie przywarsztatowe pracow-ników młodocianych, większej pomo-cy udzieli się tym, którzy uzupełnia-ją swoje kwalifikacje ogólne i zawo-dowe. Dużą uwagę przywiązuje się tu do wniosków i projektów racjo-nalizatorskich, służących do popra-wy jakości produkcji. W roku ubie-głym zgłoszono 3 takie projekty, któ-re znalazły natychmiastowe zastoso-wanie i przyniosły zakładowi dodat-kowe tysiące złotych.

Ludzie pracujący w „Wespo” mó-wią, że tu opłaca się być aktywnym. Pod tym terminem rozumieją nie ty-lko dynamikę pracy i dokładność, ale także podnoszenie kwalifikacji, i — jeśli to możliwe — szukanie coraz lepszego usprawnienia technologi. Szwaczka, która myśli jedynie o tym, by jak najszybciej minęła zmianę, nigdy nie będzie liczącym się partne-rem.

3



4



5



Foto: W. Parus

RYSZARD BINKOWSKI

STEFECIA

Należało mniemać optymistycznie, iż wraz z rewolucją społeczną, która w sposób definitywny zniósła głęboki podział klasowy, na zawsze znikł dramat nieszczęśliwych, „miedzysferowych” miłości, a tym samym symboliczny problem trędowatej, wzgardzonej Stefci. Ale w trzydziści kilka lat po wyzwoleniu telewizja i życie nasuwają smutną refleksję, że stosunki międzyludzkie w socjalistycznej społeczności nie zawsze układają się tak wspaniale, jak byśmy się mogli spodziewać.

Oto w programie II TVP idzie dla przypomnienia serial pt. „Daleko od szosy”, a dla porównania, w programie I, serial pt. „Ślad na ziemi”. Reżyser ten sam, ale drugi serial jest lepszy, przynajmniej w warstwie dialogowej, dynamiczności akcji i sposobie drażenia bliskiej nam współczesności. Nie w tym zresztą zleża, twórcy powinni się rozwijać i dawać nowe, świeże, bogatsze wartości. Ale ta dygresja nie dotyczy „problemu Stefci”. Chodzi natomiast o to, że w „Daleko od szosy” pokazana jest miłość biednego chłopaka ze wsi, z zawodu kierowcy, i sympatycznej studentki, wywodzącej się z tzw. ustabilizowanej i dobrze postawionej rodziny inteligentnej. Matka dziewczyny negatywnie ustosunkowuje się do „romansu” córki, ale jak wiemy, młodzi zwalczają wszelkie przeciwności i decydują się na wspólne, samodzielne życie.

Wielu widzów przyglądało się temu z uczuciem przykrych ambiwalencji i w dyskusjach zadawało pytanie, czy rzeczywiście mogą mieć u nas miejsce takie sytuacje. Otóż, wydaje się, że odpowiedzieć na to pytanie można w dwójnasób. Jeżeli twórcy serialu mieli na myśli uogólnienie zjawiska, to założenie byłoby błędne. Jeśli natomiast chcieli pokazać tylko konkretny przypadek, to nie mylili się. Takie przypadki zdarzają się, o czym świadczy poznana przez mnie niedawno historia, w której ofiarą przesądów, niezdrowej ambicji i dumy drobnomieszczańskiej, padła dziewczyna.

Janina S., młoda ekonomistka ze średnim wykształceniem, pracowała początkowo w handlu uspołecznionym, ale wkrótce uznała, iż sukcesów tam nie osiągnie — co najwyżej kilkaset złotych na księżeczek PKO. Groziło jej staropaniństwo, zylaki i

nerwica od ciągłego wystukiwania złośliwych uwag klientów. Nie mogła również liczyć specjalnie na pomoc rodziców, biednych, choć oszczędnych rencistów, bez wykształcenia i rodowodu. Rozważywszy raz jeszcze swoją sytuację życiową, postanowiła rozzerrzeć się za bardziej intratnym zajęciem. I tak w sposób dość szybki i nieoczekiwany trafiła na Lesława R.

Matka Lesława R., kobieta obrotna, przebiegła i troskliwa, zasobna w pieniądze, ale bez tytułu magistra, utrzymująca pozycję w światku prywatnej inicjatywy od lat, bo tak nakazywała rodzinna tradycja i wybujała ambicja, postanowiła starszego syna wykierować na inteligenta. Nie kierowała się wyłącznie snobizmem, po prostu szła, jak się to mówi, z duchem czasu: młody człowiek z ogłoda, potrafiący się ładnie wyślawiać, posiadający pieniądze i wykształcenie, mógł zawsze liczyć na ożenek z panią doktor, inżynier, albo plastyczką, co byłoby pewną nobilitacją prywiczniczej rodziny, a to się liczyło.

Za radą matki Lesław R. został nauczycielem rysunków. Zawód ten nie przynosił mu jednak sukcesów materialnych, ani większych sukcesów towarzyskich, bo panienki z sektora prywatnego wcale nie leciały na jego duszę artysty. Matka stwierdziła, że popełniła błąd, i po kilku latach kupiła synowi fiata. Kiedy jednak i to nie pomogło w podniesieniu pozycji syna, postanowiła, że Lesław R. musi wrócić „na swoje” i uczciwą pracą spłacić równowartość samochodu. W tym celu otworzyła rożen z kurczakami, pepsicola i piwem, którego właścicielem, pracownikiem i szefem został Lesław R. Ponieważ jednak sam nie mógł sobie dać rady, podał ogłoszenie o zatrudnienie pracownika. Jako pierwsza zgłosiła się Janina S., która okazała się pracownikiem sumiennym, bystrym, zdyscyplinowanym oraz... uległym i sympatycznym.

I tak w sposób banalny, pośród wroni skwierczących kurczaków, narodziła się miłość, która na zapleczu różna przeobraziła się w zażyłe zbliżenia cielesne, jak określił biegły w nomenklaturze urzędniczej. Matka Lesława R. udawała, że o niczym nie wie, traktując całą historię z przy-mrużeniem oka, jako romans między podwładnym i szefem, któremu przysługują niepisane prawa zwierzchnika, bo ostatecznie pracownikowi pla-

ci, a więc może również wymagać.

Nie przewidziała tylko jednego: że syn się zakocha i że Janina S. zajdzie w ciążę. Lesław R. bał się matki i wszystko utrzymywał w tajemnicy, ale w końcu szydło wyszło z worka i wówczas matka zaczęła się domagać natychmiastowego zwolnienia parszywej „Stefci”.

— Nie pozwolę, abyś wszedł do takiej rodziny — oświadczyła twardo. — Musisz zrobić wszystko, aby uniknąć kompromitacji.

— Nie ma podstaw, aby ją zwolnić — stwierdził nieśmiało syn. — A kompromitacji można uniknąć poprzez szybki ślub.

— Ani mi się waży! A gdybyś sprzeciwił się mej woli, w moim domu nie zamieszkać!

Janina S. nigdy nie ujrzała pokojów w domu Lesława i nigdy też nie rozmawiała z jego matką. Wierzyła jednak w swego kochanka i szefa. I miała prawo wierzyć, bo kiedy leżała w szpitalu na oddziale położniczym, gdyż groziło jej poronienie, okazywał jej czułość i troskę, przywoził kwiaty i pocieszał. Ujęta tym dziewczyna wyciągnęła wszystkie swoje oszczędności i wynajęła prywatne mieszkanie, dając dwa tysiące odstępnego i placąc po pięćset złotych miesięcznie na pół roku z góry. Dokonała niezbędnego remontu (przebudowa pieca, malowanie podłóg i ścian) i zaczęła skrzętnie ścigać sprządy do wspólnego gospodarstwa: miski, wiadra, talerze, szklanki. Lesław pomagał jej w sprzątaniu, przynosił węgiel i wodę, jego samochód niegwał codziennie stał przed domem, w którym wynajęto mieszkanie. Ustallili wspólnie datę ślubu i liczbę gości, których miało być około dwudziestu pięciu, w tym ze strony Lesława wyjątkowo świadkowie ślubu, jego kole-dzy z żonami oraz ewentualnie jego matka i brat.

Ojciec Janiny wyasygnował oszczędzane przez wiele lat dla córki dwadzieścia tysięcy i obie z matką zaczęły robić zakupy. Zgromadziły odpowiednią ilość wędlin, mięsa, szynki, poledwicy, świeżych pomidorów, Janina sprawiła sobie suknię ślubną z welonem i buty. Lesław kupił dwadzieścia butelek spirytusu, które wraz z kompletami talerzy i sztućców (wypożyczonych), zawiązał wraz z jednym z przyszłych świadków swoim samochodem do domu rodziców Janiny.

Na cztery dni przed ustaloną datą ślubu, Lesław spędził jeszcze noc z Janiną w wynajętym mieszkaniu.

Alle świadkowie nie poczuliłi żadnych formalności w USC. Jeden oświadczył, że nie nie robił, bo nie zaproszono jego żony.

Na dwa dni przed ślubem Lesław był u Janiny w domu. Rozmawiali o pracy w różnie i rychłym przyjęciu weselnym. Lesław kupił sobie garnitur za trzy i pół tysiąca i nowe buty.

Na dzień przed ślubem jeden ze stałych bywalców różna, pociągający piwko „bez konsumpcji” stwierdził, że przybiegła matka Janiny, bluźniła tam strasznie, wybiła szybę i na koniec wrzasnęła, że jej na tym s... synie nie zależy, tylko na nazwisku.

Właściwa interpretacja tego oświadczenia brzmiała chyba tak: „Nie chodzi nam o ślub, tylko żeby dać nazwisko dziecku”.

Tak mogła powiedzieć. Ale szybko nie wybiła.

Rożen bowiem był tego dnia zamknięty, kłódka zmieniona i Janina S. nie mogła przystąpić do pracy. Zrozumiała, że może nie dojść do ślubu. Zaczęła odwoływać miejscowych gości. Zamieszawcy przybyli. Janina całkiem jednak nie straciła nadziei, bo kiedy zadzwoniła do matki Lesława, ta oświadczyła, że syn wyjechał w jakiejś sprawie, ale nie wie gdzie. Janina sądziła, że Lesław nazajutrz wróci.

W sobotę rano przystąpiła do pracy kucharka, wynajęta za tysiąc złotych.

Janina S. udała się do fryzjera, a gdy wróciła, ubrano ją w ślubną sukienkę. Zapalono świece. Czekano. Nie zjawili się ani Lesław, ani nikt z jego rodziny. Janina zaczęła płakać, tury rozmazywał się jej po twarzy, lecz nikt jej nie pocieszał, chociaż atmosfera przypominała nastrojem stype.

O godzinie dziesiątej trzydziści, a więc na pół godziny przed wyznaczonym ślubem w USC, gdzie Janina o-piaccia wszystkie kosza, jej siostra zadzwoniła do matki Lesława.

— Straty? — powiedziała szderczym tonem pani R. — Nam na pieniądzech nie zależy.

I odłożyła słuchawkę.

Po jedenastej zjawili się jeden z zaproszonych gości, który nie mogąc się doczekać w USC na młodą parę, postanowił pójść do domu rodziców Janiny. Przybyli też inni zaproszeni goście, z kwiatami, prezentami, bardzo skonstronowani, bo nie wiedzieli, co robić: składać życzenia, czy kondolencje?

Wieczorem odbyło się przyjęcie. Stoły w podkowie, bigos, przekąski, wódka, wszystkim na dwadzieścia pięć osób, ale zasiadło tylko piętnaście. Jeden z niedoszłych świadków ślubu, Ryszard G., oświadczył pod koniec przyjęcia, że kolega mu szepnął, iż Lesław podobno leży chorej, nigdzie nie wyjeżdżał. A potem dodał, że nie bardzo chce mu się w to wierzyć, bo kiedy dwa dni temu był z nim w domu, wszystko było w porządku.

NIE UMARŁA

„Superman”, najdroższy film wszystkich czasów (35 mln dolarów), został wyprodukowany w Stanach Zjednoczonych. Sfilmowane przygody komikowego bohatera mają jednak wszelkie dane, aby odebrać „Szczekom” i „Gwiezdnym wojnom” tytuły najbardziej dochodowych filmów wszechczasów.

Producenti powierzyli główną rolę debiutantowi, Christopher Reeve wystąpił dotychczas tylko w kilku telewizyjnych filmikach reklamowych, przypomina jednak swój komiksowy prototyp przede wszystkim charakterystycznym wydatnym podbródkiem. Obok niego zaangażowano jednak wyborowy korpus gwiazd ekranu: Za 37 mln dolarów Marlon Brando zgodził się przyjąć rolę ojca Supermana. Za swoje honorarium Brando chce nakręcić film o problemach Indian. Nie gorzej obsadzone są pozostałe role drugoplanowe: — grają je Gene Hackman, Terence Stamp, Valerie Perrine i Maria Schell.

Reżyser Richard Donner (twórca filmu „Omen”), zrealizował z tą ekipą film trzymający się ściśle swego komikowego pierwowzoru. Fantastyczna planeta Krypton grozi eksplozją. Jej władca Jor-El wysłał zatem swego małego synka statkiem kosmicznym na Ziemię. Superdziecko wychowane tu zostaje przez rodzinę farmerów i już w szkole daje się poznać jako posiadacz niezwykłej siły — na przykład piłką kopniętą przez niego lądje w sąsiednim okręgu.

Kiedy Superman kończy 18 lat odkrywa magiczną kulę kryształową, przy pomocy której komunikuje się ze swoim pozaziemskim ojcem. Jor-El daje mu nierozwiązywalne w gruncie rzeczy zadanie: zwalczyć zło na świecie, trzymając się jednak z dala od polityki.

Superman sprawnie sobie drugą osobowość. Jako Clark Kent, reporter dziennika w mieście Metropolis, penetruje wielkomięski świat przestępcy, aby później zwalczać go już jako Superman w charakterystycznym kostiumie z czerwonym „S” na piersi.

Najsłabiej sformułowany bój stacza dzielny szlach z Luthorem, zamieszującym w podziemnym schronie arcyzłoczyńca i spekulantem gruntowym, który chce przy pomocy eksplozji atomowej zatopić pół Kalifornii, ponieważ druga połowa należy do niego i sporo by na tym zarobił.

Większe trudności ma ten „bojownik za prawdę, sprawiedliwość i sprawę amerykańską” z kobietami. Jako warty reporter zaleca się bezskutecznie do swojej koleżanki Lois Lane, która nie mając pojęcia o jego podwójnej egzystencji „kocha silnego, dobrego Supermana. Ale bohater postępuje jak dobry Amerykanin: ponieważ pogardza ona słabym Kentem, ukarze ją jako Superman, gardząc również jej miłością. Tak więc zwalcza zło również w kobiecie i męski szowinizm może znówu triumfować.

Superspektakl w którym według dziennika „New York Times”, nie ma żadnej myśli nie mogącej figurować na pudełku płatków kukurydzianych, został wyfinansowany zgodnie z najnowszą regułą Hollywood. Wytwórnia Warner Brothers wydała na reklamę okragle 10 mln dolarów. Poza tym rynek zasypany został tysiącami różnych artykułów z Supermanem od koszulek z nadrukami do pudełek z drugim śniadaniem. W kalkulowanym na 30 mln dolarów obrocie handlowym wytwórnia Warner Brothers ma sześcioprocentowy udział.

Wszystko to dla dobrej sprawy. Bowiem, jak głosi autor scenariusza Mankiewicz „tym, do czego nas przyzywa Carter zawsze nawoływał, jest właśnie Superman. To, co dajemy ludziom jest chrześcijańskim postępowaniem, jest właśnie wszystkim, który uczyłi kochał się i bronił słabszych”.

Prezydent we własnej osobie nie mógł być nieobecny na światowej premierze filmu 10 grudnia w Waszyngtonie, z której dochód przewidziano naturalnie na szlachetny cel. Zysk z imprezy, na którą bilet wstępu kosztował sto dolarów, a w której udział wzięli amerykańscy supermani, w rodzaju Henry Kissingera, przeznaczono — o ironio dobroczynności — na organizację „Special Olympics”, olimpiady dla inwalidów.

Chrześcijańskie postępowanie zdaje się jednak mieć ograniczony zasięg. Przy nabywaniu praw do rozpowszechniania „Supermana” zachodniemiecki przedsiębiorca dokonał niezgodnych z prawem posunięć finansowych, za co skarzy go teraz do sądu jego amerykański kontrahent. Wpłaty na aferę są także produkcji. Odszkodowanie wchodzące w grę przewyższa dwukrotnie koszt produkcji filmu.

wierzyć, bo kiedy dwa dni temu byli na wieczorze kawalerskim i pili całą noc, Lesław wracał do domu, jako „okaz zdrowia”.

Goście zjedli, ile mogli, część jedzenia matka Janiny rozdała, resztę musiała wyrzucić, bo się zepsuła (w lodówce nie było miejsca na tak duże zapasy). Niedopita, kupiona przez Lesława wódka, stoi do dziś dnia.

Tylko kobieta może wczuć się w sytuację Janiny. Dziewczyna w ciąży, czekająca w napięciu na ślub, pod ostrzałem współczujących spojrzeń, przeżyła szok i popadła w depresję. Rozchorowała się ciężko i przez kilka dni nie była w pracy. Kiedy wróciła do różna, Lesław złożył przed nią oświadczenie, że zapadł ciężko na płuca, a na potwierdzenie ma zwolnienie lekarskie w dniach od 10 do 17 tamtego miesiąca, a więc w czasie daty wyznaczonego ślubu. Współczesna Stefca zdolała się już jednak otrząsnąć i przemyśleć sprawę na trzeźwo, toteż oświadczyła, że jej na ślubie już nie zależy. Fragnie tylko urodzić zdrowe dziecko, przeprowadzić sprawę o ustalenie ojcostwa, a wcześniej odebrać od Lesława pokazaną rekompensatę za wydatki poniesione na ślubne przyjęcie.

Przyjęła taką postawę nie bez racji. Lesław bowiem mógł ją powiadomić telefonicznie o swojej chorobie, ale milczał, jego brat zaś rozsiwał żartobliwą, jak mniemał, plotkę, iż Lesław wyjechał. Wątpliwości budził stan jego zdrowia i dźwięk L-4. Były wystawiane dwa razy, po czterech dni zwolnienia, a więc nie mogła to być ciężka choroba. Poza tym w okresie zwolnienia lekarskiego rożen był czynny...

Całą aferę należało określić jasno, bez niedomówień. Lesław załamał się, gdy matka oświadczyła, że jeśli stanie na ślubnym kobiercu, zostanie wydziedziczony. Zgodził się więc na jej perfidny plan, dzięki któremu Janina miała zostać wzgardzona, pogrzebiona i ośmieszona do tego stopnia, że na zawsze odechce się jej żeniactwa.

I pani R. dopięła swego. Nie przewidziała tylko, że „Stefcia” okaże się krnąbrna i zażąda odszkodowania. Dlatego też Janina S. otrzymała wkrótce wywołanie z pracy. Odwołała się jednak i inspektor przywrócił ją do pracy.

W różnie pracując się ludzi, niedogdy kochających się dwój, niedoszłych małżonków, którzy się nienawidzą.

W czerwcu Janina S. urodziła syna.



Na zdjęciu Christopher Reeve (Superman) i Margot Kidder (Lois).

Widok dymów pelzających nad Jassami, choć szokujący, nie kłamie. Nie tylko ze wzgórza na którym wznosi się Cetatua ale i z sąsiedniej wyniosłości Gałata można zobaczyć to wszystko, co coraz bardziej staje się symbolem nowoczesnego Rumunii. Można więc dostrzec dynamicznie rozwijający się przemysł i osie dzielnic mieszkaniowe. Z typowo rolniczego kraju Rumunia staje się coraz bardziej przemysłowym. Ucieszyłyby to na pewno niezwykłego już Luciana Blage, choć tak ukochał wieś, że uważał ją za źródło wieczności.

Nowe domy w Jassach nie są ani piękniejsze ani lepsze niż gdziekolwiek w Europie zawiązywanej już przez architekturę pudefskową. Nie razi ona w dzielnicach przemysłowych, ale staje się nieznośna w osiedlach mieszkaniowych, zwłaszcza gdy się ją porówna z choćby tak wspaniałą architekturą jak dzielnica uniwersytecka w Jassach, a właśnie tutaj w roku 1860 rozpoczęła działalność pierwsza wyższa uczelnia na ziemi rumuńskiej. Przez całe lata dawna stolica Moldawii była więc przede wszystkim miastem akademickim. Młodzieży studenckiej tu nie brak, nawet Daniel i jego żona są absolwentami miejscowego uniwersytetu choć coraz silniej wyciska na Jassach swoje piętno przemysł. Są dziś one ważnym ośrodkiem włókienniczym, maszynowym, meblarskim. W ciągu kilkunastu ostatnich lat liczba mieszkańców miasta powiększyła się w dwójnasób (do około 400 tys.), co chyba najlepiej posw adęca dynamikę jego rozwoju. Ruch robotniczy rozwijał się tu oczywiście już grubo wcześniej. W latach trzydziestych ukazywała się komunistyczna gazeta „Czerwona Moldawia” (Moldova Rosie), antyfaszyści wydawali też „Ecouil”. Ale dopiero socjalistyczne przemiany związane ze zwycięstwem komunistów naprawdę zmieniły oblicze kraju. Jeśli Rumunia ma coraz więcej uznania w świecie, zawdzięcza to rewolucji socjalistycznej.

Daniel zawiózł mnie do jednej z fabryk w Jassach. Były to produkujące w znacznym stopniu na eksport zakłady meblarskie specjalizujące się w stylowych kompletach (rokoko). Zakłady są stosunkowo młode, choć zdążyły już okrzepnąć. Od dawna nie dowozi się już pracowników z pobliskich wiosek: ludzie znaleźli mieszkania w mieście. Ustala też płynność kadr. Ludzie są przywiązani do zakładu i jeśli trudno o jakichś pracowników to chyba o rzemieślników wykonujących ręcznie skomplikowane detale. Tu rozstrzyga po prostu talent i inwencja własna, w mniejszym stopniu rutyna, bo są rzeczy których po prostu nauczyć się nie można. Widziałem przy robocie tych dumnie noszących się rzemieślników i nie dziwiłem się, że są w cenie. Maszynowo można drewno obróbić tylko z grubością: w precyzyjnej pracy nie zastąpiony okazuje się pilnik, diuto, nóż, a przede wszystkim pewna reka.

Jestem rozkochany w gotyku, toteż raczej drażnił mnie wszelkie mitycje. Neogotycki Pałac Kultury, dzieło architektki Iona Berindei jest brzydki, choć imponująca budowla. Nie dziwnego, że wzniesiono ją blisko dwadzieścia lat, od 1907 do 1925 roku. Jeśli nie góruje nad miastem, to w każdym razie zaznacza swa obecność w połączeniu z towarzyszącymi jej budowlami: cerkwią św. Mikołaja i domem metropolity Dosoftei, który jak większość rumuńskich duchownych w przeszłości parzył się poezją. Oczywiście zarówno cerkiew jak dom metropolity są grubo starsze od Pałacu Kultury, świątynia pochodzi z wieku piętnastego i zali-

cza się do najstarszych w mieście. Pałac Kultury (skąd my to znamy?) jest brzydki, lecz bardzo potrzebny. W jego rozległych pomieszczeniach znalazła swoją siedzibę liczne muzea, miejska biblioteka, a także redakcja „Convorbiri literare” oraz wydawnictwo „Junimea”. Wskutek marcowego trzęsienia ziemi z roku 1977, które tak fatalnie zapisało się w pamięci mieszkańców Bukaresztu, obywatele Jass także ponieśli liczne straty, choć na szczęście nie w ludziach, choć na szczęście nie w budynkach. Domy, które runęły, należały do mniej okazałych w mieście. Jednakże cały szereg budynków zarysowało się. Do zagrożonych budowli zalicza się także Pałac Kultury. Po trzęsieniu ziemi wiele muzeów trzeba było zamknąć. Redakcja „Convorbiri literare” musiała się wynieść do prowizorycznej siedziby przy ulicy Vasile Alecsandri. Tymczasemowemu locum musiałoby sobie poszukać także wydawnictwo „Junimea”, oficyna wydaw-

czym. Dalem się namówić na film „Totul pentru fotbal” (Wszystko dla piłki nożnej), do którego scenariusz napisał dyrektor „Junimea” Mircea Iacobam. No cóż, i u nich i u nas problemy są podobne: to samo przyzywanie oczu na postępowanie gwiazdorów, kaperownictwo. Ale na pociechę mamy to, że nasza reprezentacja gra mimo wszystko w piłkę nożną trochę lepiej

Znowu dzień muzealny i chociaż wiem, że przy tym natłoku wrażeń nie ma to większego sensu, że pamięć zarejestruje niewiele, sam nalegam, abyśmy odwiedzili muzeum etnograficzne, którego skromny zaczątek stanowiły materiały do nauczania studentów uniwersytetu imienia Aleksandra Cuzy. Podobnie zresztą jak w Łodzi jest tu także potężny dział archeologiczny. Nie wszystko niestety jest czynne. W

odnajduję w katalogu także moich ulubieńców: Stefana Luchiana i Iosifa Isera.

Jakby dla pocieszenia wędrujemy do muzeum mechanicznych instrumentów muzycznych. Nawet nie przypuszczałem, że wiek XIX był taki pomysłowy w wynajdowaniu urządzeń, które nie wytrzymały próby życia. Coś z niesamowitych filmów: fortepian, którego klawisze poruszają się samoistnie wydając dźwięki po uruchomieniu mechanizmu napędowego. Pozytywki, katarzynki. A wszystko to drga, kręci się, dźwięczy. I aż dziwne, że w tych zimnych, najzupełniej mechanicznych blaszanych dźwiękach słyszę jakieś poe-gnalne nuty. No tak, opuszczam gościnnie Jassy.

Znowu mgła. Tym razem jest tak gęsta, że zastanawiam się, czy samolot

Sniegu na polach jakby przybywało, a mimo to pociąg ani razu nie natrafił na zajęty przejazd, wszystko odbywało się zgodnie z rozkładem. Nie wiem jak rumuńscy kolejarze tego dokonali, ale 400 km przebyliśmy punktualnie co do minuty w ciągu sześciu godzin. I wtedy, na Dworcu Północnym w Bukareszcie, kiedy opuszczałem pociąg zrobiło mi się wstyd za nasz PKP. To zdziwienie nie opuszczało mnie już do końca, nawet w redakcji czasopisma „Luceafarul”, którego nazwa jest aluzją do głośnego wiersza Eminescu „Gwiazda Zaranna” jest organem Związku Pisarzy Rumuńskich. Ma za zadanie prezentowanie dokonanych młodej literatury, zajmuje się także poradnictwem dla początkujących autorów. Z tej okazji w kompleksie gmachów przy Placu Scintei („Iskra”) redaktorzy „Luceafarul” pełnią popołudniowe dyżury, aby służyć debiutantom. Podczas pełnienia takiej służby poznałem Minala Ungheanu, zastępcę naczelnego redaktora, oraz Teodora Balsa, sekretarza odpowiedzialnego.

Zdziwienie moje wzrosło niepomier- nie, gdy dowiedziałem się, że większość pracowników redakcji stanowią poeci. Wiele poeci wysłuchują poetów i po godzinach słuchają ich zwierzeń? W Polsce od dawna już żadna redakcja nie odpowiada na listy nawet znanych pisarzy, a u tam z honorami przyjmują debiutantów. I nawet drukują, co poświadcza kolejne numery „Luceafarul”. Jak oni to robią?

Znowu Otopeni. Tym razem mam czas, żeby przyrzeć się dużej hali portu lotniczego, która wydaje się niewiarygodnie pusta. Chociaż przy tej pogodzie nie dziwnego. Odleciał samolot Sabeny i znowu cisza. Samolot do Warszawy powinien już wystartować, a tymczasem przy wyjściu na płytę lotniska nie ma nikogo. Wreszcie odkrywam współpasażera i od tej pory trzymamy się razem. Niewyraźny komunikat w języku rumuńskim, w którym powtarza się słowo Warszawa. Po angielsku głośnik rzęzi tak niewyraźnie, że rozumiemy jeszcze mniej niż po rumuńsku. Minęła godzina. Powinniśmy znajdować się już nad terytorium Związku Radzieckiego.

Nagle znamy polską mowę. Zjawili się przedstawiciele LOTu. Przemasza, lecz Bukareszt nie przyjmuje samolotów. Przewoźnik wydał już polecenie, by nas nakarmiono na jego koszt. W sali restauracyjnej z wygaszonymi światłami natrafiamy na jeszcze paru pasażerów naszego samolotu. Kanapki na koszt LOTu nie cieszą nas, bo to znaczy, że odlećmy nie wiadomo kiedy.

Zycie powoli wstępuje w nas, kiedy nawiązujemy pierwsze kontakty towarzyskie. Zjawia się butelka nie wypitego do tej pory „Krakusa”, kabanosy, pomarańcze. Gdyby nie ta cisza i lotniska pewnie byśmy sobie pośpieli. Niepostrzeżenie mija kolejna godzina. I następna. Wreszcie warkot. Chciałoby się powiedzieć znajomy, bo to przecież samolot z Warszawy. Jednak wylądował.

Różnie nadzieja, że mimo wszystko odlećmy. Chciałoby się powiedzieć „La reverere” Rumunio i jakoś nikt tego nie mówi, żeby nie zapeszyć.

Wreszcie jednak pakujemy się do autobusu. Przy wejściu do samolotu polska stewardessa z płakiem śniegu tonięjącym we włosach. Uśmiecha się do nas zmeżonym spojrzeniem. Cztery godziny opóźnienia.

Odlatujemy w kolumajskim śniegu. I dopiero niżej w samolocie „Okocim” pomyślałem sobie: La reverere, Romania. Właśnie tak: do zobaczenia, Rumunio.

KONRAD FREJDLICH

MUŚNIĘCIE RUMUNII

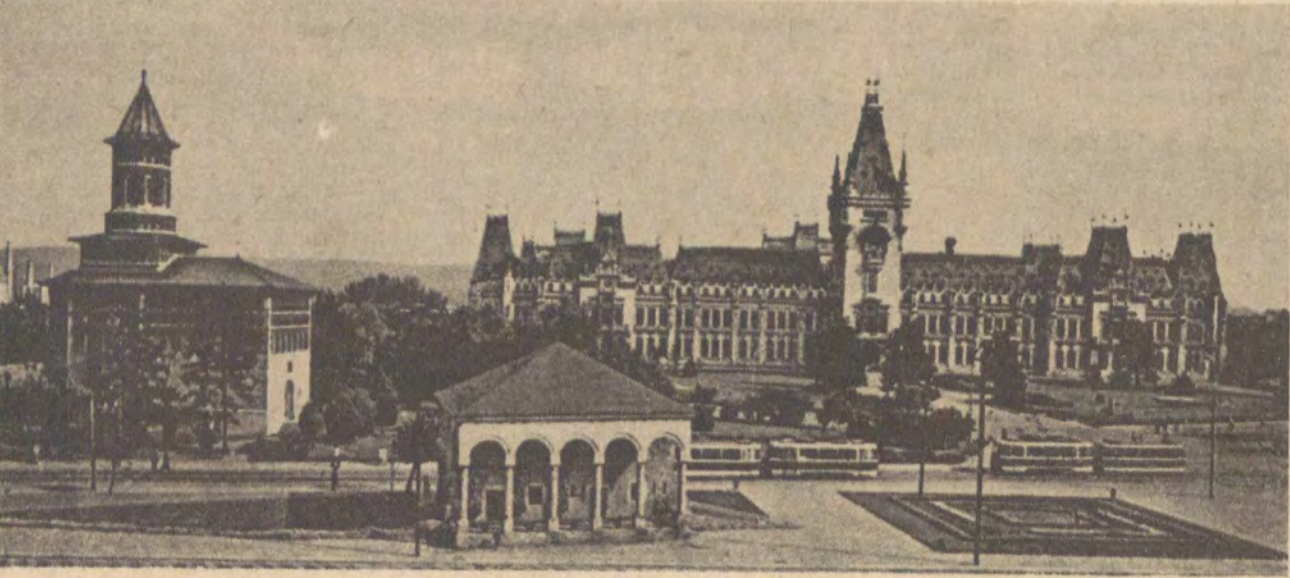


Foto: Archiwum

nicza bardzo zasłużona dla rozwoju rumuńskiej literatury. Chociaż nie należy do największych w kraju (wydaje około 30-40 pozycji, rzadziej potrafiła sobie zdobyć najważniejszych autorów głównie w dziedzinie poezji). Dyrektor Mircea Rasu Iacobam, poseł do Zgromadzenia Narodowego, mógł mi z dumą doreczyć najnowszy tom najwybitniejszego dziś w Rumunii poety Nikity Stanescu „Epica magna” w ozdobnej szkatułce.

Kiedy później poznałem jedną z autorek „Junimea” Aure Musat uprzytomniłem sobie, że oficyna w Jassach nie tylko ładnie wydaje książki, ale może się pochwalić naprawdę ładnymi poetkami. O kwiaty nie jest tu zimą łatwo, a jednak udało mi się nabyć kwiatek, który wreczyłem Aure. Tak skromny, że nabrał dopiero blasku pod jej spojrzeniem. Wieczorna wędrowka pośród tonięjącego śniegu. Na Placu Zjednoczenia dzieci daremnie usiłują ulepić balwana.

Po wyjściu z kina huczalo mi nieco

takim wypadku czuje się jakiś irracjonalny żal, jakby to wszystko, co oglądam, było skromniejsze od tego, co mnie omiote.

„Ale naprawdę niepokieszony jest tylko Daniel. Tak bardzo chciał mi pokazać Muzeum Sztuki w Jassach posiadające bogatą kolekcję malarstwa europejskiego, jak i krajowego. Niestety, ze względu na nie usunięte do końca ślady trzęsienia ziemi zbiory nie są udostępnione publiczności, bo poruszają się pośród murów podpartych drewnianymi stępami jest mimo wszystko niebezpiecznie.

Wreszcie wspólnie wpadamy na ten sam pomysł: jeśli nie mogę zobaczyć oryginałów to niech chociaż reprodukcje dadzą mi wyobrażenie o tym, co tracę. Na szczęście w sprzedaży był katalog. Oryginalny Veronesi, Tintoretto, Caravaggio, a przede wszystkim ulubiony przeze mnie Murillo. Doprawdy, nie spodziewałem się, że zarządę to w Jassach. A z plastyki rumuńskiej

odleci. Autobus „Taromu”, który powiezie nas na lotnisko, czeka z włączonym motorem przed budynkiem miejscowego oddziału linii lotniczych. Poem lot jest przełożony, na razie na pół godziny. Denerwujące chwile i punktualnie po trzydziestu minutach komunikat: dziś samolot do Bukaresztu nie odleci.

A więc pociąg? Wzdrygam się trochę po polskich doświadczeniach, przecież ledwo dostałem się z Łodzi do Warszawy, ale nie ma wyjścia. Najgorzej, że zaczął padać śnieg, lepki śnieg, którego nikt nie sprząta, bo to akurat niedzie-

la. Dworzec w Jassach do złudzenia przypominający piotrkowski. Pociąg już czeka. Chciałem napisać „pod parą”, chociaż to trakcja elektryczna, bo zdaje się gotowy do drogi. I znowu sobie nie dowierzam. Pociąg odjechał punktualnie, mignęła mi za oknem twarz Daniela Dimitriu i jego pożegnalny gest dłoni.

DEBIUT

EDWARD KOLBUS

Wiersze pochodzą z tomiku pt. „DZIAŁANIE UBOCZNE”, który ukazał się nakładem ZG SZSP w serii „Pokolenie, które wstępuje”.

DALEKI KREWNY ORFEUSZA

sentymentalny na melodię z „Ojca chrzestnego” ocet rozlał w szklanki po czym w lagodnej tonacji 69 posiadał kilka kobiet

o północy zszedł do piekieł gdzie podpisawszy umowę o dzieło przez sześć dni w tygodniu warzy smółę a każdego siódmego dnia rano nuąc na śniadanie „Ojce nasz” umiera

wciąż na nowo

za nasze grzechy ciągłych niedoświadczeń

KULIG

długim wieczorem zimy czytam choremu dziecku „Serce” Amicisa

wyrażnie wzruszone wyczekuje dalszego ciągu jak zdrowe dziecko puchu zimowej sanny

co jakiś czas spoglądam w okno okiem dozorczy

zaczyna padać ciężki śnieg

wypadków tych nie odnotowano w kronikach

wpadaliśmy na siebie często

było dużo krzyku na początku krwi

karteczki pogotowia odwoziły ranne

nasze wyobrażenia o sobie

JAROSŁAW BORSZEWICZ

szukam świata

w którym jedna jaskółka czyni wiosnę

gdzie szewe chodzi w butach

gdzie jak cię widzą to dzień dobry

szukam świata w którym człowiek człowiekowi człowiekiem

jeżeli znajdę to

nie mów hop zanim nie wpadniesz do rowu

czasem pogadabny człowiek sam ze sobą

ale gdzie tam

ja mu pytanie a on mi dwa

PEJZAŻ

pełnie życie życiunie życiunienko życisko

przez

palce paluszki paluszeńki paluszyska

któ mnie nauczy zaciskania dłoni

wczoraj wróciła do mnie pierwsza miłość

stanęła w progu i powiedziała wróciłam bo

wszędzie tam gdzie cię nie ma jest mi ciebie za dużo

ANDRZEJ BLAJER

POLITYKA

„Oni nie mają żadnej polityki. Reagują tylko na to, co gdzieś się dzieje, podczas gdy ich przeciwnicy planują na 50 lat z góry”.

— Reza Pahlavi, cesarz Iranu — o amerykańskiej polityce zagranicznej

Zatoka Perska — naftowe centrum Bliskiego Wschodu. Siedem krajów położonych u jej wybrzeży dysponuje kluczami do blisko 60 proc. światowych zasobów tego tak niezbędnego dla współczesnej cywilizacji, surowca energetycznego. Od pamiętnego w skutki kryzysu pańowego przełomu lat 19:374, region ten przyciąga baczny uwagę czołowych potęg gospodarczych Zachodu, a przede wszystkim Stanów Zjednoczonych, które 25 proc. swoich potrzeb naftowych pokrywają dostawami z krajów Zatoki Perskiej (w szczególności z Arabii Saudyjskiej i Iranu). Nic dziwnego, że ów region ma dla USA znaczenie strategiczne, gdyż uzyskanie panowania politycznego i militarnego w strefie zatoki umożliwia kontrolę wpływów na całym obszarze Bliskiego i Środkowego Wschodu, włączając w to wschodnią część basenu Morza Śródziemnego (po Turcji) oraz akwen Oceanu Indyjskiego od Rogu Afryki po Pakistan i Indie.

Jednakże wydarzenia, jakie w ostatnich miesiącach i tygodniach rozgrywają się w niektórych krajach omawianego regionu, a zwłaszcza wstrząsy polityczno-społeczne w Iranie, kryzysy rządowe, napięcia polityczne w Turcji i Pakistanie oraz zapoczątkowanie procesu socjalistycznych „rzeźb” w Afganistanie — wszystko to bardzo niepokoi czynniki rządowe i kręgi gospodarcze USA i stanowi mało optymistyczny prognostyk dla amerykańskich planów wobec tej strefy. Rozwój sytuacji może bowiem w każdej chwili przybrać taki obrót, iż cała struktura amerykańskich wpływów w tej strategicznie ważnej i bogatej w ropę naftową części świata, rozsypie się jak domek z kart. A wówczas?

Administracja waszyngtońska woli raczej nie myśleć co będzie wówczas, zwłaszcza, że taki obrót spraw oznaczałby dla USA nie tylko zasadniczą zmianę w „polityce naftowej”, ale również całkiem nowy strategiczno-polityczny układ sił na obszarze Bliskiego i Środkowego Wschodu, z całą pewnością znacznie mniej korzystny dla Stanów Zjednoczonych i ich sojuszników niż obecny. Dlatego należy się liczyć, iż nadal region ten w hierarchii celów amerykańskiej polityki zagranicznej będzie miał znaczenie priorytetowe, bowiem błędem byłoby oczekiwać, iż Waszyngton, świadomy konsekwencji utraty wpływów w Zatoce Perskiej, nie będzie usiłował temu zapobiec i to wszelkimi dostępnymi środkami, nie wyłączając presji.

Zainteresowanie Stanów Zjednoczonych rejonem Zatoki Perskiej datuje się już od początków ubiegłego stulecia, kiedy młoda republika nawiązała pierwsze handlowe kontakty z Omanem. W tym okresie Oman był główną potęgą morską na Oceanie Indyjskim, a jego marynarka wojenna przewyższała liczebnie flotę amerykańską. Pozycją Omanu określiły liczne dominia, a wśród nich Zanzibar, wyspa będąca wrotami do Wschodniej Afryki. Mając świadomość wagi tego regionu dla importu surowców i eksportu swoich towarów, Amerykanie przystąpili w 1833 roku do negocjacji z sultaniem Omanu w sprawie zawarcia traktatu o przyjaźni i pokoju, który w efekcie został ratyfikowany przez senat USA w rok później. Od tego momentu kontakty handlowe z tą częścią świata rozwijają się bardzo intensywnie, choć sam Oman z czasem przestaje się w nich liczyć. Powstają liczne protestanckie misje, których członkowie zaczynają odgrywać niemałą rolę w kręgach rządowych, gospodarczych i akademickich krajów Środkowego Wschodu. Ale prawdziwe zainteresowanie kół handlowo-gospodarczych USA nastąpi, gdy stanie się jasne, że cały obszar

wokół Zatoki Perskiej — to ogromne, niezmierzone zasoby ropy naftowej. W Zatoce pojawiają się przedstawiciele wielkich amerykańskich towarzystw naftowych. W 1928 roku kompanie — Standard Oil of New Jersey (obecnie Exxon), Standard Oil of New York (Mobil), Gulf Oil i Atlantic Oil — wykupują prawie 24 procent udziałów w Iraq Petroleum Company. W tym samym roku Standard Oil of California (Socal) uzyskuje liczne koncesje na obszarze Bahrajnu. Filia tego koncernu, Bahrain Petroleum Company (Bapco), już w 1932 roku odkrywa ogromne złoża ropy.

Następne lata cechuje intensywny wzrost obecności coraz to nowych firm naftowych w Zatoce, które z kolei łączą się z już działającymi — w większe koncerny i w ten sposób zapewniają sobie dominującą pozycję w eksploatacji złodolnego surowca. W końcu lat 40 Arabia Saudyjska staje się największym światowym eksporterem ropy. California Standard Oil Company (Casoc) zmienia nazwę na Arabian American Oil Company (Aramco), a w tym samym 1948 roku do Aramco przyłącza się dwa inne amerykańskie towarzystwa naftowe Mobil i Exxon.

Podobny rozwój interesów naftowych USA następuje w innych krajach leżących nad Zatoką: w Kuwejcie (Gulf Oil Company), w Iranie (Gulf, Exxon, Texaco, Mobil i Socal — każdy koncern z 7-procentowym udziałem), a także w Katarze i Zjednoczonych Emiratach Arabskich.

Wraz z monopolizacją eksploatacji złóż ropy przez wymienione koncerny, zaznacza się stopniowa, ale wciąż postępująca przewaga wpływów USA w sferze polityczno-gospodarczej krajów tego regionu. W miarę bowiem, jak zaczynają one budować swą własną społeczną i ekonomiczną infrastrukturę, rośnie ich zależność od amerykańskich kredytów, technologii, technik zarządzania, programów pomocy na rozwój gospodarczy, a przede wszystkim — od partycularnych interesów Stanów Zjednoczonych reprezentowanych przez monopole naftowe.

Strategiczne znaczenie bliskowschodniej ropy dla USA wzrosło poważnie w końcu lat 40, równoległe z zapoczątkowaniem w polityce światowej okresu „zimnej wojny”. Posługując się tezą o rzekomym radzieckim zagrożeniu dla politycznej przyszłości lokalnych reżimów, Waszyngton zawarł z Iranem i Arabią Saudyjską dwustronne porozumienie dotyczące sprzedaży amerykańskiej broni i sprzętu wojskowego dla tych krajów. Jednocześnie ustanowił swą stałą obecność morską w Zatoce Perskiej, tworząc w 1949 roku Middle East Force, lecz zarazem nadal uznawał brytyjską odpowiedzialność za militarne bezpieczeństwo na tym obszarze. Stan taki utrzymywał się do końca lat 60, kiedy to 16 stycznia 1968 roku premier Wielkiej Brytanii, Harold Wilson, ogłosił w Izbie Gmin, iż do końca 1971 roku jego kraj wycofa swoje wszystkie siły i zlikwiduje bazy wojskowe leżące na wschód od Suez, to znaczy również w rejonie Zatoki Perskiej.

Decyzję o wypięciu przysięgi USA podjąć w dość niesprzyjającym momencie — przez kraj przelewała się właśnie fala niezadowolenia społecznego, spowodowana fiaskiem amerykańskiego militarnego zaangażowania w konflikcie wietnamskim. Aby zatem pogodzić względy strategiczne polityki zagranicznej z racjami opinii publicznej, czynniki rządowe w Waszyngtonie postanowiły nie przejmować roli Brytyjczyków w sposób bezpośredni, lecz opracować program sprawowania pośredniej kontroli nad „bezpieczeństwem” tego regionu. Koncepcja ta znalazła swoje ucieleśnienie w następujących „pięciu za-

sadach” sformułowanych we wrześniu 1972 roku przez zastępcę sekretarza stanu do spraw Bliskiego Wschodu i Południowo-Wschodniej Azji, Josepha Sisco:

— Nieingerencja w wewnętrzne, regionalne sprawy innych narodów;

— Popieranie regionalnej współpracy na rzecz pokoju i postępu;

— Poparcie dla pokojowo nastawionych krajów w ich wysiłkach na rzecz zapewnienia własnego bezpieczeństwa i rozwoju;

— Poparcie dla zasad wyrażonych na moskiewskim szczycie odnośnie unikania konfrontacji w tych częściach świata;

— Popieranie międzynarodowej wymiany dóbr, usług i technologii.

Pierwsze trzy zasady miały na celu stworzenie struktury dla polityki pośredniego angażowania się w proces „zapewniania bezpieczeństwa” obszaru Bliskiego i Środkowego Wschodu z minimalną fizyczną obecnością Stanów Zjednoczonych (z wyjątkiem wojskowych misji szkoleniowych, już wcześniej utworzonych w Iranie i Arabii Saudyjskiej). Ponieważ polityka ta wyraźnie kładła nacisk na zacieśnienie współpracy USA z Iranem i Arabią Saudyjską, stała się znana jako polityka „dwóch filarów”.

Czytała zasada stanowiła raczej wyraz nadziei, iż duch odprężenia w stosunkach amerykańsko-radzieckich niekoniecznie obejmować musi swym zasięgiem region Zatoki Perskiej.

Interesujące, że piąta z owych zasad, traktująca o ekonomicznych interesach USA, ani piąta słowem nie wspomina o ropy naftowej, co świadczy o tym, że kwestiom bezpieczeństwa militarnego przypisywano ówczesnie znacznie większe znaczenie, uważając zarazem, iż koncerny petrochemiczne są w stanie we własnym zakresie zabezpieczyć swoje interesy naftowe. Dopiero 4-krotny wzrost cen ropy, dokonany przez kraje OPEC w październiku i grudniu 1973 roku oraz arabskie embargo, będące następstwem czwartej wojny z Izraelem, uświadomiło administracji waszyngtońskiej strategiczny charakter tego surowca i jego wpływ na polityczne interesy Stanów Zjednoczonych w Zatoce. Skutek — zasadnicze przewartościowanie priorytetów polityki USA wobec tego obszaru i umiejscowienie interesów naftowych na jednej płaszczyźnie z interesami strategicznymi. W efekcie polityka „dwóch filarów” została rozszerzona o dwa dalsze cele:

a) nieprzerwany dostęp do zasobów ropy regionu, po odpowiednio skalkulowanych cenach i w ilościach dostatecznych dla pokrycia zarówno naszych własnych potrzeb jak i naszych sojuszników;

b) wykorzystanie przez eksporterów ich szybko rosnących dochodów w sposób konstruktywny — na rzecz rozwoju ekonomicznego i umocnienia międzynarodowego systemu”.

Ostatnie stwierdzenie wyrażało pewną dozę obaw (całkowicie zresztą niezasadnych), że producenci ropy, gromadząc ogromne rezerwy petrodolarów, które nie zostałyby włączone do międzynarodowego obiegu monetarnego — podkopią gospodarkę światową.

Wobec takiego rozwoju sytuacji, Stany Zjednoczone zmuszone zostały do poszukiwania bardziej elastycznych rozwiązań „uwzględniających interesy swych bliskowschodnich partnerów bardziej, aniżeli miało to miejsce do tej pory. Dotyczyło to przede wszystkim wzajemnej wymiany handlowej i współpracy w dziedzinie gospodarki, przemysłu, obrony, transferu technologii itp., co znalazło swoje odbicie w odpowiednich porozumieniach z Arabią Saudyjską (1974 r.) i Iranem (1975 r.) oraz kontaktach handlowych z pozostałymi krajami Zatoki Perskiej.

Jak jednak już wspominałem, równie ważnymi, co czynniki ekonomiczne, okazały się dla USA będące ich konsekwencją, kwestie strategiczne. Waszyngton nie miał bowiem w żadnym przypadku zamiaru dopuścić do utraty kontroli wpływów na tym roponośnym obszarze. Ponieważ jednak wolał uniknąć bezpośredniego militarnego zaangażowania w Zatoce, stanął przed koniecznością takiego ukierunkowania polityki dwóch filarów, aby jednocześnie osiągnąć korzyści ekonomiczne i strategiczne.

Koncepcja administracji amerykańskiej przewidywała więc, iż państwa tego regionu same zapewnią sobie niezbędny poziom bezpieczeństwa, dzięki zakupom w USA broni i sprzętu wojskowego. Tym sposobem gwarantowany zostanie system powiązań gwarantujący realizację dwóch celów.

Z jednej strony prawidłowe funkcjonowanie gospodarki USA i innych państw Zachodu uwarunkowane jest dostawami bliskowschodniej ropy, z drugiej — kraje tego regionu pozostają w poważnym stopniu związane gospodarczo i militarnie z mocarstwami zachodnimi. Dysponując zatem ogromnymi dochodami uzyskanymi ze sprzedaży ropy, kraje naftowe (zwłaszcza państwa o monarchistyczno-teokratycznych reżimach, zagrożonych ewentualnością utraty władzy w wyniku postępowych prze-

obrażeń ustrojowych) zaangażują petrodolary w zakupy broni. W konsekwencji owo działanie, poza zapewnieniem ciągłości dostaw ropy i rosnącym uzależnieniem w sferze polityczno-militarnej, przyczyni się dodatkowo do poprawienia bilansu handlowego Stanów Zjednoczonych.

Taki charakter współzależności miał spowodować, iż każda próba nałożenia embarga na ropę, czy osłabienia tempa jej wydobycia, ograniczy znacznie praktyczną użyteczność posiadanego sprzętu — jest bowiem równoznaczna z natychmiastowym wstrzymaniem dostaw broni i części zamiennej. O tym, jak wielką rolę odgrywa ten właśnie czynnik, niech świadczy fakt, iż sprzedaż broni i wyposażenia wojskowego USA do krajów Zatoki wzrosła ze 137 milionów dolarów w 1970 roku do około 6 miliardów dolarów w roku 1977.

Obecny rozwój wydarzeń w strefie Zatoki Perskiej wskazuje, że w układzie tego regionu dokonują się

ską, Iran, po szlaki biegnące ku Południowej Afryce”.

Wycofanie niekwestionowanego dotychczas poparcia, jakie USA udzielały szachowi, nie rokuje prawie żadnych korzyści, a wręcz grozi zarzutem zdrady zaufanego sojusznika. Udzielenie go z kolei gabinetowi premiera Bachtara, który lada moment może upaść, jest zbyt ryzykowne i mało obiecujące, jeszcze bardziej zresztą — dokonanie interwencji militarnej, która oznaczałaby praktycznie kres wszystkich wpływów politycznych i gospodarczych w tym kraju.

Administracji amerykańskiej nie pozostaje więc nic innego, jak podać politykę dwóch filarów gruntownej weryfikacji. Może się jednak wówczas okazać, że główną ostoją strategiczno-politycznych celów i posunięć USA w sferze Zatoki, gdzie już tylko jeden filar — Arabia Saudyjska, i to nie wiadomo jak długo, w tym kontekście swobodnego znacze-



Foto: Archiwum

bardzo istotne przemiany, przebiegające zresztą w kilku płaszczyznach. Są one wynikiem wewnętrznych metamorfoz społeczno-gospodarczych i politycznych (Iran, Afganistan, Południowy Jemen, Turcja), a także wpływów z zewnątrz, zarówno o charakterze globalnym, jak i regionalnym. Powiązanie tych czynników, ich wzajemne nakładanie się i przenikanie, stworzyło na obszarze Bliskiego i Środkowego Wschodu zupełnie nową sytuację.

Przykładem może być choćby Iran, gdzie załamanie się dotychczasowego systemu władzy postawiło Stany Zjednoczone w niezwykle kłopotliwej sytuacji. Trzeba pamiętać, że imperium szacha było jeszcze do niedawna centralnym filarem amerykańskiej koncepcji bezpieczeństwa strategicznego na Środkowym Wschodzie, krytycznym ogniwem tego, co doradca prezydenta do spraw bezpieczeństwa narodowego, Zbigniew Brzezinski, nazwał „lukiem niestabilności”, tj. „obszarem krajów ogarniętych krzysami i rozciągającym się wzdłuż wybrzeży Oceanu Indyjskiego od Chittagong w Bangladeszu, przez Islamabad, Aden, Zatokę Per-

nia dla kół polityczno-gospodarczych Stanów Zjednoczonych nabiera obecnie Meksyk, którego zasoby ropy są, według ostatnich danych, dwukrotnie większe od saudyjskich (45 miliardów ton) oraz Chiny (rozpoznane rezerwy naftowe liczą około 15 miliardów ton). Czyżby więc kraje te miały stać się nowymi filarami strategii Stanów Zjednoczonych w świecie?

Konkludując, nie sposób zaprzeczyć, że Amerykanie, przedź czy później, będą sobie musieli wreszcie uświadomić, iż globalizm polityki wielkomocarstwowej ma jednak wysoką cenę, zarówno w sensie moralnym jak i materialnym, gdyż zmusza do angażowania się w problemy złożone i często niepopularne, a w konsekwencji prowadzi do licznych pomyłek i porażek. Historia bowiem dowodnie pokazuje, że nawet mało liczące się państwa, mogą w pewnym momencie zdobyć wielkie międzynarodowe znaczenie, zaś tak potężne mocarstwo jak USA, nie może własnych wpływów zwiększać w nieskończoność, gdyż nie istnieje możliwość przekształcenia świata w obszar zależny od jednego kraju.

„DWÓCH FILARÓW”

Z ŁAMÓW PRASY ŚWIATOWEJ

Słowo „provokacja” coraz częściej przewija się w żargonie, który z użyciem dyplomatycznym, używają go nie tylko Rosjanie i Wietnamczycy, „co to provokować rosyjskiego nieznawcę?” — powiedział (jak podaje obserwator gazety „New York Times”, James Reston) kancierz RFN, H. Schmidt do prezydenta Cartera na Gwadelupie. Można się domyślić, iż postawił on następujące pytanie: W jaki sposób taki człowiek, jak Zsigmond Brzezinski, mógł sobie wyobrazić, że Związek Radziecki i bez tego zatrudniony w Japonii i USA nie doparzą z jego „przejrzystymi” dodatkowymi powodami do zaniepokojenia?

Bynajmniej nie z braku rozsądku użył Brzezinski podczas wizyty w Pekinie leksykonu swoich gościnnych gospodarzy „chcą zdemaskować intrzygi białego niedźwiedzia”. Brzezinski, występując 20 grudnia ub. roku przed Stowarzyszeniem Polityki Zagranicznej, wspominał (nie wymieniając bezpośrednio ZSRR), że Związek Radziecki „mógłby skorzystać z chaosu”, który by nastąpił przy „rozpadzie kruchych struktur socjalno-politycznych”, żeby pogłębić „kryzys powstały wzdłuż całego łuku wybrzeża Oceanu Indyjskiego”. Czyżby nie wiedział on o tym, że przeleź do Amerykanów, a nie Rosjanom, mieszał się dotąd (i to jeszcze jak) do spraw irańskich?

Zdaniem Brzezinskiego przeciwnikiem nr 1 jest Związek Radziecki i dlatego, że by zmusić go do „uległości” dobre są wszystkie chwytaki, poczynając od sojuszu z Chinami. Ale, czy ma prawo rząd USA, który występuje w imieniu całego świata zachodniego i którego polityka, tak lub inaczej, wywiera wpływ na całą planetę, puścić się w tę drogę bez powrotu? I jak znów mówi James Reston, sekretarz Stanu Cyrus Vance tak dalece zaniepokoił się tym problemem, że zastanawia się nawet nad dymisją. Rzeczywiście, nie ma co ukrywać, do czego prowadzi takie wystąpienie. Jest to nawrót do „zimnej wojny”, a być może i do czegoś jeszcze gorszego. Na każdej „provokacji” Amerykanów i Chińczyków (a zaczynają się one sprowadzać do tego samego), Związek Radziecki reaguje inelastycznie, którą z kolei Amerykanie i Chińczycy tłumaczą sobie jako prowokację, i tak dalej. Lepiej uważać Związek Radziecki za taki, jaki jest, a nie za taki, jakim chcielibyśmy go widzieć. Można, ile się chce, potępiać Nixona i Kissingera, trudno jednak kwestionować, że doskonale to rozumie, dzięki czemu między nimi i Kremlem zrodził się swego rodzaju szacunek, zaufanie, a w każdym razie wzajemne zrozumienie. Płynące wszelkie, oczywiście, odgrywały bardzo aktywną rolę w tych stosunkach, które za to nie miały wpływać na zmniejszenie międzynarodowego odwieczania.

Historyczny sukces Nixona i Kissingera polega na tym, że udało im się postawić Chinami, żeby polepszyć swoje stosunki ze Związkiem Radzieckim i wykaraskać się z wietnamskiej awantury. Carterowi i Brzezinskiemu będzie bardzo trudno zaprezentować swoim redaktorom jako sukces fakt, że stali się narzędziem Chin...

(skróty)
„Le Monde” — Paryż

Po dłuższej przerwie Stany Zjednoczone zaprosiły ministrów spraw granicznych Izraela i Egiptu do Camp David w celu wznowienia rokowań. Egipt ma tu do odegrania specjalną rolę. Już od szeregu lat egipscy liderzy na czele z prezydentem Sadatem prowadzą antynarodową politykę wewnętrzną i prozachodnią politykę zagraniczną, zorientowaną na dokonanie rozłamu w stosunkach między niepodległymi państwami arabskimi.

Mimo pozorów Sadat, ponaglany i popieran przez USA, pragnie zawarcia traktatu pokojowego z Izraelem. Z drugiej strony Waszyngton i prawicowe koła arabskie dążą, przy

EGIPT

współdziałaniu Sadata, do przekształcenia Egiptu w narzędzie, przy pomocy którego określone koła USA pragną zrealizować swoje plany strategiczne w Afryce i na Bliskim Wschodzie. I nie chodzi tu wyłącznie o naftę, choć odgrywa ona w tym planie określoną rolę, ale bynajmniej nie najważniejszą. Nawiasem mówiąc, kraje OPEC stały się dla USA partnerem zbyt kapryśnym, zbyt bogatym i niepowynym. A jeśli już o naftę chodzi, to od pewnego czasu w centrum zainteresowania USA znajduje się Meksyk, a ściślej mówiąc jego ropa naftowa. Jak się dziś szacuje, meksykańskie zasoby tego energetycznego nośnika są większe od wszystkich zasobów krajów arabskich razem wziętych. Miarą „nowego spojrzenia” USA na problem nafty, jak również awansu Meksyku do roli światowego mocarstwa naftowego jest 3-dniowa oficjalna wizyta prezydenta Cartera w Meksyku, rozpoczynająca się 14 lutego br. Ale jest to osobne zagadnienie.

Powracając do Egiptu, w planach określonych kół Zachodu leży przede wszystkim wykorzystanie Egiptu do walki przeciwko ruchom narodowo-wyzwoleńczym na Bliskim Wschodzie i w Afryce. Korespondent londyńskiego tygodnika „Middle East” określa to nawet „sprowadzeniem Egiptu do roli żandarma Afryki”. Po-

rozwianą a inne przetruczo z frontu północnego na zachodni, na granicę z Libią i innymi krajami afrykańskimi.

Nasuwa się pytanie, jaki potencjał reprezentują dziś egipskie siły zbrojne? Odpowiedział na to pytanie Sadat, występując przed żołnierzami i oficerami w Bilbais. Egipski lider zapewniał ich, że przygotowano już dokładny plan rozwoju wszystkich rodzajów wojsk przy pomocy zachodnich fabrykantów broni. Tydzień później, b. szef sztabu gen. Saad asz-Szazli, człowiek pod którego dowództwem armia egipska w październiku 1973 roku sforsowała Kanał Sueski, powiedział zupełnie coś innego. Ze swego dyplomatycznego zesłania w charakterze egipskiego ambasadora w Portugalii oskarżył Sadata, iż ponosi on osobistą odpowiedzialność za obniżenie bojowych zdolności egipskich sił zbrojnych.

Na pytanie, gdzie w ostatnich czasach korzystano z pomocy wojsk egipskich, odpowiedział jest o wiele łatwiej w Czadzie, Zairze, Somali, Sudanie, Libii, na Cyprze — słowem wszędzie, gdzie trzeba było dawać ruchy niepodległościowe. Zresztą i Sadat, i Szazli są zgodni co do tego, iż armia egipska nie jest zdolna do stawienia czoła siłom zbrojnym Izraela. Można by nawet powiedzieć więcej: w porównaniu z ekonomicz-

nym i militarnym potencjałem Izraela Egipt nie jest dla niego żadnym partnerem. Dlatego też część egipskiej armii przy pomocy zachodnich producentów broni i za pieniądze Arabii Saudyjskiej przekształca się w uderzeniową interwencyjną siłę zbrojną do działań w Afryce i w świecie arabskim. Pozostała część armii, ekwipowana i organizowana dla prowadzenia wojny przeciwko Izraelowi, w tym wojska pancerne, oddziały obrony przeciwlotniczej, ciężkiej artylerii pozostawiono na lasce losu.

Ponieważ jednak większość oficerów egipskich nadal służy właśnie w tych formacjach wojskowych, władze nie mogą mówić o tym otwarcie. Wprost przeciwnie, robią wszystko, żeby w jakiś sposób ukryć tę reorientację armii. Oto dlaczego Sadat, zapewniając kadry dowódców armii, że wszystko jest w „najlepszym porządku”, nie omieszkal natychmiast dodać, iż robi się odpowiednie kroki, żeby „jeszcze bardziej zwiększyć jej zdolność bojową”. Gen. Szazli

opracowania politycznych, społecznych i ideologicznych kryteriów egipskiego żołnierza”. Amerykańskie organa wywiadu doszły również do wniosku, że sytuacja w armii egipskiej wymaga stworzenia „strefy ochronnej” złożonej ze starszych oficerów, wiernych obecnemu reżimowi i w zamian obisypanych łaskami. Wydarzenia 18-19 stycznia 1977 roku, kiedy to niezadowolone masy ludności wyszły na ulice protestując przeciwko polityce rządu, były niejako „próbny testem” dla armii, egzaminem jej wierności dla Sadata. Po raz pierwszy egipska armia stała czoła zbuntowanemu masom własnego narodu. Był to przełomowy moment w przekształceniu jej z obrońcy ojczyzny w pogromcę ruchów narodowych. Ten kurs polityki egipskiej jest widoczny.

Nigdy jeszcze, od czasów rewolucji w 1952 roku, która na czele rządu republik postawiła G. A. Namera, robotnicy i chłopci nie żyli w takiej nędzy jak dzisiaj. W 1976 roku ceny produktów żywnościowych wzrosły, w porównaniu z 1968 rokiem, o 74 proc. Mimo to władze dążą coraz nowszych ofiar od mas pracujących, na które, jak powiedział Sadat, spada „podstawowy ciężar ekonomicznego rozwoju kraju”. Tymczasem uprzywilejowane warstwy ludności są od niego zwolnione. Świadczą o tym fakty. Na przykład w 1975 roku wzięto do kraju bez cła prywatne samochody wartości 35 milionów funtów egipskich. Dziś w Egipcie 200 tysięcy osób posiada 100 tysięcy samochodów. Tymczasem transport miejski w Kairze dysponuje 1200 autobusami na 10 milionów mieszkańców!...

„Osiągnięcia” — 8-letnich rządów Sadata, to spadek produkcji, rozwój pasożytniczej warstwy właścicieli domów i spekulantów, burliwy wzrost stref wolnego handlu, głównie w Port Saidzie. Tutaj, zamężny Egipcjanin i zagraniczny turysta mogą zaspokoić swoje pasje nabywania produktów luksusowych i innych towarów wwożonych bez cła do kraju. Egipt, który zawsze był światowym eksporterem wyrobów przemysłu włókienniczego, teraz musi je importować. Tak samo obowiązuje Egipt, niedygi potęga, nie liczy się już na światowych rynkach wyrobów tytoniowych.

Ustępając żądaniom miejscowej burżuazji, Sadat kontynuuje reorganizację ekonomiczną i podatkową struktur kraju. Niedawno gwałtownie obniżył podatki od dochodów przewyższających 10 tysięcy funtów egipskich rocznie, tj. podatki od dochodów najbardziej uprzywilejowanych warstw społeczeństwa. Wraz z przedmiotami zbytku Egipt „importuje” inflację, której ciężar najbardziej obciążają egipskie masy pracujące. Portmonetka gospodni domowej produkcją z zakupów robi się coraz lżejsza...

JERZY CZECH

ŻANDARM AFRYKI I BLISKIEGO WSCHODU

BEZ SZYBKICH NADZIEI „RZĄD TYMCZASOWY” POSZUKIWANIE WYJŚCIA

Bieżący przegląd aktualności międzynarodowych rozpoczynamy od tematu, którym kończyliśmy poprzedni — od trwającego kryzysu rządowego we WŁOSZECH. G. Andreotti — dotychczasowy premier, ale też desygnowany na nowego — w minionym tygodniu przeprowadził rozmowy z wszystkimi przywódcami partii, szukając możliwości sformułowania gabinetu. Decydująca rozmowa — z przywódcą włoskich komunistów E. Berlinguerem nie dała żadnego rezultatu. Andreotti odmówił spełnienia żądań WPK, tzn. oddania niektórych tek ministerialnych w ręce tej przedstawicieli. Wysłana natomiast, jeśli zaufać agencjom zachodnim, kilka koncepcji, w które komunisty do dziś wzywają 10 miesięcy uczestniczenia w większości parlamentarnej już nie wierzą.

Kolejny temat — również już podejmowany na tym i innych miejscach w naszym tygodniku — to sytuacja w IRANIE. Aktualnie charakterystyczny jest ona tym, że zgodnie z wcześniejszą zapowiedzią Islamska Rada Rewolucyjna pod przewodnictwem Chomeiniego, powołała „rząd tymczasowy”, na czele którego stanął 73-letni M. Bazargan. W opinii obserwatorów uchodzi on za przedstawiciela umiarkowanego kierunku i od początku kryzysu irańskiego zalecał „politykę małych kroków” i unikania rozlewu krwi. Zachód przyjął tę „nominację” z pewną ulgą, obawiano się bowiem, że Chomeini wyznaczy któregoś z bardziej radykalnych polityków.

Oczywiście utworzenie „rządu tymczasowego” spowodowało w Iranie dalszy wzrost napięcia. Tym bardziej, że Bazargan publicznie głosi, że zadaniem jego „rządu” jest całkowicie przejąć władzę, przeprowadzić referendum na temat przyszłego ustroju państwowego, a następnie wybory do nowego parlamentu. Bazargan oświadczył też, iż nie krytykuje kroków jakie podjął Baehdar, lecz jedynie fakt, że został on mianowany przez szacha i jest podporządkowany jego władzy”. Z tego też względu powinien ustąpić.

Oto wyłożona w skrócie zawłłość obecnej sytuacji w Iranie. Każdy dzień może ją zmieniać i zaostrzać.

Zdaniem REUTERS — zamieszki w Iranie, niepewność co do dalszych wydarzeń i potencjalne zagrożenie żywiołowej dla Zachodu „drogi naftowej” wywołują obecnie w Waszyngtonie większe zaniepokojenie niż impas w rokowań egipsko-izraelskich.

Ta opinia nie oznacza jednak, że Stany Zjednoczone nie podejmują wysiłków w celu ożywienia dialogu i doprowadzenia do porozumienia między Kairem i TelAwiwem. Właśnie przebywa NA BLISKIM WSCHODZIE minister Obrony USA — H. Brown, który odwiedza także Izrael i Egipt. Rozmawia on z przywódcami poszczególnych krajów jako osobisty przedstawiciel prez. Cartera. Innyimi słowy spełnia misję mediacyjną.

Dwa dni przed wyjazdem Browna sekretarz stanu C. Vance zapowiedział, składając wyjaśnienia przed komisją spraw zagranicznych Izby Reprezentantów, że następnym krokiem w kierunku przelamania impasu będzie spotkanie stron zainteresowanych na szczeblu ministerialnym. Nie przewiduje się natomiast zorganizowania „szczytu”, który mógłby wchodzić w rachubę jedynie wówczas, gdyby były gwarancje, że Egipt i Izrael będą „głębokie”.

Przypomnijmy, że rokowania ułknęły na martwym punkcie z powodu rozbieżności m. in. co do tego, czy ustalić terminarz wprowadzenia tzw. autonomii na okupowanym przez Izrael zachodnim brzegu Jordanu i w strefie Gazy, czemu przeciwstawia się Izrael.

O tym, jaka jest sytuacja na okupowanych przez Izrael terytoriach arabskich, świadczy tymczasem obszerna publikacja sprzed kilku dni „Washington Post”. Wynika z niej, że władze okupacyjne stosują wobec Palestyńczyków różne formy terroru — z torturami łącznie. Raporty o tym były — wg doniesień wspomnianego dziennika — przekazywane do Waszyngtonu, ale pozostawały bez echa. Ujawnienie teraz tego faktu wywołało prawdziwą burzę w stolicy USA, a Izrael skierował protest. Nie pomniejsza to jednakże wiarygodności relacji dziennika.

W. SŁAWSKI

Kompozytor, muzykolog, historyk sztuki, a przede wszystkim wielki przyjaciel i propagator kultury — tak najkrócej można określić twórczość naukową i działalność społeczną prof. Igora Belzy.

Wypełnił one niemal 55 lat bogatego życia profesora, który 3 lutego obchodził 75-letnie urodziny. Jego dorobek naukowy i kompozytorski obejmuje ponad

U przyjaciół JUBILEUSZ PROF. BELZY

500 dzieł, prace w placówkach Akademii Nauk ZSRR, Wydawnictwach, Konserwatorium Moskiewskim. Wśród kompozycji znajdują się symfonie, utwory fortepianowe, kameralne i wokalne — wysoko ocenione przez krytykę, uznane przez nią za „muzykę romantyczną o nowoczesnym brzmieniu i gorąco przyjmowane przez melomanów, także w Polsce. Ponadto prof. Belza jest współzałożycielem Towarzystwa Przyjaciół Radziecko-Polskiej i od początku do dziś dzień pełni w nim obowiązki wiceprzewodniczącego Zarządu Głównego.

Wielkość narodu decyduje o jego kulturze — wyjaśnia profesor swoje oddanie sprawom pol-

skim. — Zawsze interesowałem się muzyką tylko w kontakcie z całością rozwoju kultury. W takim ujęciu powstały wszystkie moje prace. Nieprzypadkowo więc od lat jestem związany z moskiewskim Instytutem Słowiańszczyzny i Bałkanistyki Akademii Nauk ZSRR, gdzie utworzyłem dział kultur słowiańskich i kierowałem nim. Zawsze dominowała w moich zainteresowaniach i badaniach kultura polska. W efekcie tego powstała trzytomowa „Historia polskiej literatury muzycznej”, książka „Polsko-rosyjskie związki muzyczne”, monografie o wielkich twórcach kultury i muzyki polskiej. Wiele z tych książek znają także czytelnicy polscy.

Obecnie w przygotowaniu są następujące moje książki, napisane specjalnie dla czytelnika polskiego. Będą to nowe monografie Chopina i Marii Szymanowskiej oraz esej poświęcony problemom moralno-estetycznym w sztuce. Kontynuacją także poszukiwania w archiwach, celem udostępnienia nieznanym utworom kompozytorów polskich. Efektem tych poszukiwań w ostatnich 25 latach było wydobywanie z zapomnienia ponad 60 utworów, głównie Michała Kleofasa Ogińskiego. Pracuję także nad syntetycznym opracowaniem historii polskiej kultury artystycznej.

W Towarzystwie Przyjaciół Radziecko-Polskiej utworzyłem specjalną sekcję chopinowską, która kieruje. Organizuje ona m. in. cykl koncertów pn. „Pianisci radzieccy — wykonawcami Chopina”. Znajdują też czas na częste wizyty w Polsce. Jestem — co szczególnie cenię — członkiem honorowym Towarzystwa Chopinowskiego, a także wielu innych instytucji muzycznych. Dostaje zaproszenia na koncerty moich utworów.

Wielki wkład prof. Igora Belzy w popularyzowanie kultury polskiej w Związku Radzieckim i na świecie, został wysoko oceniony przez władze PRL. I. Belza jest odznaczony Krzyżem Oficerskim Orderu Odrodzenia Polski, otrzymał odznakę „Zasłużony dla kultury polskiej”.

POLONICA KULTURALNE

W ambasadzie PRL w Faryżu odbył się uroczysty koncert dla uczczenia 100 rocznicy urodzin Wandy Landowskiej, sławnej polskiej klavierszystki, której zasługą jest przywrócenie do życia zapomnianego już instrumentu. Wchlebną kontynuatką jej dzieła, Elżbieta Chojnacka, wykonała utwory kompozytorów polskich i obcych od XVI wieku do naszych czasów.

Polski twórca, Piotr Moskał, został zwycięzcą I międzynarodowego konkursu młodych kompozytorów ogłoszonego przez włoskie Stowarzyszenie Muzyczne Valentino Bucchi. Nagrodzony twórca zostanie wydany we Włoszech.

W Galerii Starej Warszawy w Aleksandrii pod Waszyngtonem, odbyło się spotkanie z polskim grafikim — Waldemarem Świerczym, który był członkiem jury I Międzynarodowej Wystawy Plakatów w Fort Collins w stanie Colorado. Do udziału w wystawie zaproszono około 100 plakacistów z całego świata, w tym 13 Polaków.

Na Uniwersytecie w Leuven (Belgium) w Belgii odbyła się 2 bm. uroczysta sesja akademicka poświęcona z wręczeniem dyplomu doktora honoris causa. Wśród osobistości uhonorowanych dyplomem, był polski kompozytor i dyrygent, Krzysztof Penderecki.

W ratuszu Kreuzberg w Berlinie Zachodnim czynna jest wystawa plakatów pn. „Ochrona pracy w Polsce”. Wystawa ta prezentuje zwiedzającym szeroki wachlarz plakatów polskich plakacystów, popularyzując zagadnienia bhp i ochrony pracy.

Od 10 lat pracuje w Belgii polski kompozytor i pianista, Piotr Lachert. Towarzystwo koncertowe „L'Atelier” zorganizowało w Brukseli pod patronatem Ministerstwa Kultury Belgii wieczór jubileuszowy polskiego artysty.

Teledzielnia francuska i reprezentowała ostatnio wersję telewizyjną filmu Andrzeja Wajdy „Ziemia obiecana”.

TADEUSZ BŁAŻEJEWSKI

Z POZYCJI ZOILA

UMIARKOWANEGO

Bo i któż zoilów słucha.

Antoni Edward Odyńiec

Będzie to kilka luźnych uwag, garść refleksji o bieżącym życiu literackim. Nie wyczerpują one zagadnienia, charakterystycznego się bogactwem spraw, dotykają jedynie niektórych problemów, bardziej może wyrazistych.

Z pewnością truizmem pozostaje stwierdzenie, iż na współczesne życie literackie patrzeć można, a nawet trzeba, z różnych punktów widzenia. Wynika to z niezaprzeczalnej potrzeby dokonywania w miarę systematycznej, ogólniejszej refleksji, kolejnych prób bilansowania sytuacji literackiej, krytycznego oglądu zjawisk i dzieł, ich społecznego obiegów i funkcjonowania. W naszej prasie literackiej próby bilansowania pojawiają się niezbyt często, jeśli pominiemy okresowe, z reguły roczne sprawozdania i przeglądy tematyczne, czy gatunkowe, bieżącej produkcji wydawniczej. I nie stanowią w żadnym wypadku próby bilansowania poniższe uwagi napisane z pozycji umiarkowanego zoila, a więc krytyka, który z góry zapowiada przejaśnienia, ale chce uniknąć zbyteknej prowokacji słownej, w przekazaniu spostrzeżeń.

Życie literackie to zespół rozmaitych zjawisk towarzyszących i warunkujących twórczość literacką. Połączone jest ściśle z przejawami życia społecznego, politycznego, ale charakter jego w większym stopniu niż z owych zewnętrznych powiązań, wynika z sytuacji intelektualnej, żywotności pewnych prądów umysłowych i tendencji artystycznych. Jak wiadomo choćby z historii literatury, twórczość literacka podlegała może różnym, i literackim, i pozaliterackim (to znaczy artystycznym i społecznym) wymogom. Obecna sytuacja literacka, sytuacja — jak mawiał Melchior Wańkowicz — „międzyepoki”, określa bardziej może niż w innych powojennych latach dostojny SYNKRETYZM, czyli nazywając rzecz nieco delikatniej: dowolność poszukiwań twórczych. Nie oznacza to, rzecz prosta, ideowego i artystycznego bezholowania, różnorakie ośrodki dyspozycyjne, nie rezygnują wcale z oddziaływania na pisarzy i literaturę, istnieje na przykład bardzo wyraźny postulat społecznego zaangażowania twórczości literackiej, ale pozostawia się twórcom zarówno swobodę wyobrotu problemowi, jak i indywidualizm w stosowaniu metody twórczej.

Współczesne życie literackie ma cechy dość wyraźne — manifestuje się poprzez istnienie i działalność rozmaitych INSTYTUCJI literackich, przy czym słowo instytucja posiada w tym kontekście znaczenie najszersze i oznacza po prostu usankcjonowane tradycją formy obiegu myśli literackiej. Dzieło literackie, ubrwe może niektórym pozorom, nie jest wcale sprawą indywidualną. Posiada sens SPOŁECZNY. Istnieje dziś wyraźne zapotrzebowanie na książkę, na zawarte w niej treści. Wykształcony od lat schemat obiegu dzieła literackiego (autor — wydawca — księgarnia — krytyk — czytelnik) powoduje, iż społeczny odbiór książki podlega może bardziej niż inne społeczne wytwory konkretnej kontroli — ideowej, artystycznej, a nawet technicznej. Jej wyrazem stają się głównie łamy czasopism literackich i społeczno-kulturalnych, zaś najprostszą formą — recenzja. I tu musi pojawić się pytanie na ile recenzenci rzeczywistości pamiętają o społecznym charakterze faktu literackiego i na ile fakt ten kontrolują, omawiając poszczególne pozycje wydawnicze? O odpowiedź niestety. Ułatwiają ją liczne wypowiedzi, konstatacje postępującej kryzys naszej krytyki literackiej.

Spośród tradycyjnych instytucji literackich niektóre wytracają impet, inne — wręcz

odwrótnie — nabierają rozmachu. Zanika na przykład swoista funkcja kawiarni literackiej (z wyjątkiem, rzecz jasna, kawiarni na Krakowskim Przedmieściu czy w „Czytelniku”), no i może jeszcze paru innych. Rozkwitają natomiast konkursy; można odnieść wrażenie, iż konkursomania wręcz się pleni (często bez porozumienia z wydawcami czy redakcjami czasopism, bez zapewnienia możliwości publikacji nagrodzonych utworów). Jest to, moim zdaniem, znamienne przejawy FORMALIZOWANIA życia literackiego. Bo, na dobrą sprawę, kto dziś nie organizuje konkursów literackich? Łatwiej byłoby chyba wymienić te placówki i instytucje, które nie zdążyły do tej pory wykonać się konkursową imprezą. Ale spieszymy się, bo wkrótce już ich chyba nie znajdziemy. A czy nie zmierzają do formalizowania życia literackiego różnego rodzaju festiwale, dni literatury, spotkania z okazji i bez okazji, spotkania oznaczone nazwą i spotkania bez nazwy?

Na przykład: spotkania autorskie. Chodzi o pozornie takie same, a w gruncie rzeczy jakże zróżnicowane, bezpośrednie kontakty między twórcą a czytelnikami. Spotkanie spotkaniu nierówne. Od czego zależy? Od autora, audytorium, od dnia, czy godziny? Autorzy traktują na ogół spotkania poważnie, bo stanowią one dla nich prawdziwą konfrontację ich twórczego wysiłku z odbiorcami. Znamienne może tu być świadectwo zmarłej niedawno znanej pisarki, Marie Luise Kaschnitz z jej autobiograficznych „Miejsc”:

„Spotkania autorskie w awalach szóstki, salach wykładowych, smutnych lokalach stowarzyszeń kulturalnych. Długie czytanie, dziesiątki lat, słuchacze się zmieniają, ale mój głos jest taki sam, nie męczy się. To, co czytane, wiersze lub proza, jest moim życiem albo życiem innych, jak ja je widzę. Publiczne czytanie jest próbą słowa, zdania, wiersza kładzie się w ogień, niektóre rozsypują się, nie utrwalają ich żadna intonacja, żadne zakłęcia, inne wytrzymują... Czasami utykam w potworne milczenie, opowiadania, i wydaje mi się, że same przejdą mi przez usta te nienapisane teksty, przy których nie muszę się nudzić, ani rumienić ze wstydu”.

Ale to tylko jedna strona medalu — publiczne sprawozdanie tekstów. Trzeba jeszcze mieć je przed kim sprawować. Oto w dowcipnym wierszu Wisławy Szymborskiej pt.: „Wieczór autorski” trudno nie wyczuć nuty lekkiego rozżalenia:

„Muzo, nie bądź bokserem, to jest nie być wcale, Ryczące publiczności poskapiłaś nam, Dwanaście osób jest na sali — Już czas śebyśmy zaczęli...”

oraz większą, a zarazem coraz bardziej zróżnicowaną rolę, odgrywa w życiu literackim ruch wydawniczy. Wiąże się to ściśle z przeobrażeniami, jakie obecnie w tonie ruchu wydawniczego zachodzą — zmianami metod działania, tworzeniem systemu preferencji itd. Wydawca okazuje się w tym samym ciągu najpraktyczniejszym mecenasem i inspiratorem pisarzy, którzy niekiedy — prawem odwetu — pozwalają sobie w swych książkach na nieduw znaczną kpinę z niektórych niezręcznych mecenasowskich zabiegów. Oto scenka z powieści Andrzeja Tuwrodochłiba: Rozmawiają młodzi twórcy:

— Napisałem powieść i kazali poprawić. Kazali więcej pola, bo było za mało pola.

— Jak to: pola? — zapytał Witold.

— No, pola... łany, miedze,

Dalszy ciąg na str. 10

Polowanie jest bardzo przyjemnym zajęciem, Lecz milej być myśliwym niż łownym zwierzęciem, Chociaż są polowania, z których by wyjść żywym, Bezpieczniej jest zwierzyzną być, niż myśliwym.

Ossendowski był podróżnikiem i pisarzem, Ejsmond myśliwym i poetą. Myśliwym szczególnego autoramentu, który potrafił nie tylko żartować sobie, jak w powyższej frazecie, ze współtowarzyszy łowieckich i łownej zwierzyzny, ale i troszczyć się o jej los. Pierwsza wojna światowa dokonała straszliwych spustoszeń w sta-

nie zwierzęcym naszych puszczy i lasów, po wojnie dzieło zniszczenia kontynuowali z równie dobrym skutkiem kłusownicy. Ejsmond wiedział o tym dobrze jako redaktor „Lowcy Polskiego”, a także jako częsty uczestnik polowań w Białowieży. W swoim czasie napisał bajkę treści następującej:

Do Ministerstwa Rolnictwa i Państwowych Dóbr W delegacji od zwierząt przyszedł Żubr i Bóbr. Rzekł pierwszy z nich: „Ministrze wysłuchaj nas chciej, Nim wyginie ostatnia zwierzyzna wśród kniej. Z wieku mi i z urzędu ten zaszczyt należy... Panie Ministrze! Jestem widmem z Białowieży! — Ryczy Żubr: — Eksceleńco! ratować nas racz!” Bóbr jak bóbr się rozplakał. Słuchać ryk i płacz. Rzekł im Minister na to niezmiernie uprzejmie: „Nie da się dziś ustawy przeprowadzić w Sejmie. Najpierw skarb. Potem, Żubrze kochany i Bóbrze. Na wszystko przyjdzie pora: będzie całkiem dobrze. Zresztą od zwierząt stokroć ważniejszy jest las!” „Będzie las, lecz nie będzie, Eksceleńco, nas.”

MOTYW BIAŁOWIESKI

Tadeusz Gicgier

Następne posłuchanie. Wchodzi nowy ktoś: Delegat błot poleskich — rosochaty Łoś, Tepiony bez litości w bagnistym ostępie, „Ministrze! Wyszczęnie grozi mnie i klepie!” Rzekł Minister do Łośa niezmiernie uprzejmie: „Wszystko się przeprowadzi po kolei w Sejmie. Na wszystko odpowiedni kiedyś przyjdzie czas.” „Lecz wtedy — Łoś mu przerwał — nie będzie już nas!”

Tak przyszedł na audiencję puszczyk zwierzostan cały. Na koniec z pół Szaraki twórczość przykładał I podniosły przed jego Eksceleńcją krzyk. Ze je tepi okrutnie kłusownika wyki. Rzekł im Minister: „Bardzo się Waszmościom dziwię, Ze siedzicie we wynikach nie dosyć cierpliwie! Na to mu jeden Zając bajkę opowiedział: „Parę dni temu, kiedyś w pewnym wyniku siedział, Patrzę — idzie policjant. Wgłęb podnoszę krzyk: — Przedstawicielu władzy! Skonfiskuj ten wynik! Skonfiskuj to narzędzie i wypuść mnie potem, Ażebym tak jak ongi został wolnym kotem. Pan policjant na słowa te odparł mi tak: — Owszem, słusznie, lecz ścisłych instrukcji mi brak. Poczekaj więc, Zajączku nim wyjaśnię sprawę I zanim Sejm zatwierdzi łowiecką ustawę. Czekaj cierpliwie! Przyjdzie odpowiedni czas! — A może byś — spytałem — sam do wynika wlaży? Może byś sam troszeczkę posiedział we wyniku, A potem skarg wysłuchał, wielki dostojniku...”

Odpowiedź na tę interpelację ży, minister napisał również zgłoszoną przez autora przy wierszem, którego zakończenie stoletie białowieskim w Białowie-

Najgorzej, gdy kto ma protekcję. Gorzka minister bierze wtedy lekcję. Oto zwierzyzny łownej ilość spora uprosiła redaktora, by jego ekscelencja, nagadał impertynencji. Redaktor, że to głowa bystra, ułożył bajkę — na ministra. Tego już było za wiele. Wnet odpowiedź udzielił. „Skoro parafia wasza taka niekontenta, mam was... dosyć, kochane zwierzęta. Gdy dla was tu ramy zbyt ciasne, mnieście ministerstwo własne. Niech z Ministerstwa od Państwowych Dóbr wynosi się zaraż Zając Dzik i Bóbr! Odtąd opieki szukajcie i praw w Ministerstwie od Zwierzęcych Spraw. A Ministrem mianuję i protektorem tego, co był waszym redaktorem. Niechże najczulszą opiekę wam on da — Ministrem Waszym mianuję Ejsmonda.”

„Bajka powyższa — wspomina Julian Ejsmond — została po dwu latach wcielona przez ministra w życie. — Nie otrzymałem wprowadzenia do życia, lecz obywateli referat łowiecki w ministerstwie rolnictwa. Jednym z następstw poety-

kiej wymiany zdań było zatem powołanie mnie do odpowiedzialnej pracy w dziedzinie polskiego łowiectwa; jednym z owoców tej pracy — była nasza nowa ustawa łowiecka (przeprowadzona następnie jako dekret prezydenta) zaczęło się od bajeczek — skończyło na dekreście...”

Polowania w Białowieży dostarczyły Ejsmondowi wielu spostrzeżeń i tematów do takich jego książek jak: „Moje przygody łowieckie”, „W puszczy”, „Żywoty drzew”. Pierwsza z nich, to również ciekawe studium psychologiczne mieszkańców wschodnich rubieży kraju. Tu i ówdzie Ejsmond traktuje ich trochę „z pańska”, pokpiwa z nich, ale nie szydzi. Dostrzega jednak w kresowiakach głęboko zakorzenione poczucie godności własnej i... poczucie humoru.

„W Wilnie do mego przedziału siada trzech myśliwych z bronią i plecakami pełnymi zapasów. Jadą na cietrzewie gdzieś pod samą granicę. Zaledwie pociąg ruszył, poczyna się „zakąsywanie” i zakrapianie.

— W pańskie ręce można perswadować? — pyta sąsiada dobróduszy myśliwiec podobny do Weyssehoffskego Talmonta, którego towarzysze tytułują doktorem. Można perswadować, panoczku?

— Bynajmniej — odpowiada „panoczek”, co oznacza: oczywiście.

Rozmowa schodzi na tory

gluszcowe. Towarzystwo omawia jakieś polowanie, na którym był minister. Kto? Trudno się domyślić.

Na osłizłych kładkach minister wpadł w istną furję. Podprowadzał go Wasył Droga była „obojetna” (zła). Dostojnik przybył pod gluszcza „demokratycznie” (w sam czas).

Poczęło świątać. Kogut zaczął grać. Wasył chwycił ministra i chce z nim skakać. A ten mówi, że nie, panoczku, nie słyszy... Tak Wasył na to jemu do słucho: „Tu, panoczku — powiada — nie Ministerstwo. Tu gluszcze... Tu trzeba rozumu, panoczku, żeby w pieśń podchodzić”. — A ten jak go poczynnie rugać. I po matuzkie — rugał.

Wasył potem i mówi mi: „Panoczku! Zrugaj mnie powiada, od sukinyńców — to nie... gluszcze szlifował... Ale mi powiedział... ty, draniu jeden — nie w pieśń. — Nie w pieśń, panoczku! Tego mu nie daruję nigdy!”

Wspomniałem o „Żywotach drzew”. Tę książkę Ejsmonda postawiłbym najwyżej. Ma ona autentyczny walor poetycki, który zapewnia jej przetrwanie.

Książkę opatrzył wstępem klasyk naszego piśmarstwa „myśliwskiego”, Józef Weyssehoff, który doszukuje się w twórczości Ejsmonda nie byle jakich literackich paranteli:

„Nad nieliczną grupą myśliwych-poetów góruje dzisiaj Julian Ejsmond, pisarz już w wielu rodzajach celujący.

Ma on w tej chwalebnej manii obrzybnego poprzednika — Rudyarda Kiplinga, autbra dwóch „Książ dzungli”.

Ejsmond postawił sobie zadanie podobne, choć wcale inną metodą dochodzi do swych celów. Nie tworzy fantastycznych bajek, owsem, tłumaczy nam znane instynkty i zwyczaje naszych zwierząt leśnych. Ale, podobnie jak Kipling, u-

A gdy przyjdzie godzina mego zachodu, Zajdę jak słońce, jasne do ostatniej chwili. Nigdy nie będę drzewem, co dumne za miodu, Z wiekiem ku ziemi się chyli.

siluje przeniknąć tajemnicę ich dusz, rozumować ich logiką, nie zaś zewnętrzną, ludzką logiką przyrodnika lub strzelca. I jak Kipling, unika w tym tonie antropomorfii, przypisywania zwierzętom charakterów ludzkich.

Jest to pierwsza próba tego rodzaju w piśmiennictwie polskim. Ejsmond nie naśladował bynajmniej Kiplinga, pisze tu w jego duchu — jakby wyjawiał nam zwierzenia podsluchane czy otrzymane od dzikich bestii. Biegły wywiadowca wszedł w puszczy polską i dał nam poznać nowe jej drzewo. Ma zdrowie i talent na swawal. Choć otrzymaliśmy od niego już dużo, wołamy o więcej. Mamy pewność, że musił nie zabraknie ani w myślowo-analitycznych wędrówkach, ani w darzeniu nas ich poetycznym plonem.”

Weyssehoff nie mógł przewidzieć pewnej okoliczności, która udaremniła te nadzieje Ejsmonda zginął wkrótce w katastrofie samochodowej.

Jan Parandowski, który cenil go również wysoko, tak pisze o tym wypadku:

„Stało się to podczas wyliczki do Morskiego Oka, która zamykała piękny, słoneczny tydzień kongresu PEN-Clubów.

Z POZYCJI
ZOILA

Dalszy ciąg ze str. 9

oziminy, wierzby, rzyńska, skiby, pędraki, owies. Takie tam... — Dopisate? — No. Scenę erotyczną. — W zbroju? — Skąd wiesz? Z problematyką wydawniczą wiąże się ściśle coś, co na użytek tego artykułu nazwałbym swego rodzaju „siłą motoryczną” literatury. Wyjaśnięm od razu, że nie chodzi mi tutaj ani o artystyczne powołanie, ani o odmianę talentu pisarskiego. Idzie o rzecz zupełnie prozaiczną, wymierną i konkretną, o coś, co można umownie określić — wzorując się na znanym wierszu Konstantego Ildefonsa Gałczyńskiego — literackim gospodarstwem, czyli finansową stroną uprawiania literatury. Ilu pisarzy, zajmujących się twórczością poważną, ambitną, może ze swego piarstwa utrzymać siebie i rodziny? Nie dysponując wyliczeniami, wszelako śmiem przypuszczać, iż nie jest to liczba zbyt imponująca.

Najistotniejszym elementem składowym współczesnego życia literackiego jest oczywiście działalność Związku Literatów Polskich, organizacji, o której sporo mówiono i pisano nie tak dawno z okazji dwudziestego zjazdu jej delegatów. Zauważono wówczas (nie po raz pierwszy zresztą), bardzo wysoką średnią wieku literatów polskich. Wynika to zarówno ze statutowych wymogów — o członkostwo ZLP ubiegać może się autor dnu co najmniej książek o takim poziomie artystycznym, który zyska uznanie wśród członków Komisji Kwalifikacyjnej, jak również jest rezultatem niełatwej, w ogół sytuacji debiutanta.

W ostatnich latach, a ściślej mówiąc od chwili wprowadzenia nowego podziału administracyjnego kraju, coraz wyraźniej ujawniają się literackie ambicje mniejszych ośrodków kulturalnych i to zarówno w dążności do tworzenia Klubów Literackich z zamiarem późniejszego przekształcenia ich w Oddziały ZLP, jak i w organizowaniu przeróżnych imprez o charakterze nie tylko lokalnym. Przy całej jednak przychylności wobec regionalnego ruchu kulturalnego, nie należy stosować taryfy ulgowej i wyłączenie ze względu administracyjnych powiększać grono formalnych literatów (zob. np. protest Romana Śliwonika w jednym z niedawnych numerów „Literatury”).

N a koniec słowo o środowisku pisarskim naszego miasta. Rzadko bywa ono dostrzegane przez krytyków i innych ośrodków literackich. Nawet jeśli przyjeżdżają oni na Festiwal Poezji, rocznicowe uroczystości, czy własne spotkania autorskie — to nie po to przecież, by później o literackiej Łodzi pisać. Do nielicznych wyjątków zaliczyć wypadnie Tadeusza J. Zielińskiego, w którego wypowiedzi („Łódź na mapie kulturalnej”, publikowanej w „Argumentach” nr 37 i przedrukowanej w „Odgłosach” nr 39), chęć spełnienia dobrego wobec Łodzi uczynku towarzysza, niestety, przeważnie stereotypu. O środowisku literackim wypowiedział się w sposób, nazwijmy to tak, dwójsty. Wymienił kilka nazwisk, które „są li czą”, ale samo środowisko oceniał jako niezbyt „intelektualnie nośne”, zaś autorów młodszych, urodzonych i wychowanych w Łodzi, uznał — w porównaniu z Warszawą czy Krakowem — za „mało błyskotliwych”. Ot, tak jednym pojęciem i jednym, bez konkretyzacji i motywacji. Ta niezbyt fortunną, bo powierzchowną i zbyt aurytatywną wypowiedź uświadamia, poza wszelkimi innymi refleksjami, potrzebę opracowania syntetycznego obrazu powojennych, przynajmniej dzieł i dokonaniach środowiska pisarskiego naszego miasta. Tym bardziej przecież, że niejedno środowisko literackie kraju może się podobnymi opracowaniami poszczycić.

TADEUSZ
BLĄZEJEWSKI

Uomo contro, czyli człowiek, który jest przeciw — takie miano, trawestiujące oryginalny tytuł jednego z jego filmów można by nadać Francesco Rosiemu. Jego kolejne filmy (a polski widz ma szczęście znać prawie wszystkie znaczące dokonania Rosiego) stanowią bogato udokumentowane akty oskarżenia pod adresem włoskiego systemu władzy. Ich fabuła każdorazowo wyrasta z konkretnego, rzeczywistego faktu społeczno-politycznego, którego znaczenie w historii powojennych Włoch pozwala Rosiemu na wszechstronną analizę schorzeń włoskiej demokracji parlamentarnej pozostającej od lat w stanie nieprzerwanego kryzysu. Rosi systematycznie niepokoi sumienie społeczeństwa i rządzących nim polityków, ponieważ podejmuje tematy drażliwe, bierze na warsztat fakty, o których pamięć starano się zepchnąć w głąb zbiorowej podświadomości, by przypomnieć np. „Sprawę Mattei”, film oparty na nie wyjaśnionym nigdy do końca morderstwie, którego dokonano na postępowym, lewicowym działaczu przemysłowym. Dzięki tej tematyce Rosi wypracował oryginalny gatunek filmowy, któremu dąży się przypisać bezterminologicznego ryzyka nazwę filmu politycznego, który służy ostrej, bezkompromisowej postawie ideowej reżysera o wyraźnej lewicowych przekonań. Uprawiając filmową publicystykę Rosi stara się dotrzeć do prawdy o przedstawianych zdarzeniach. Dokonuje na ekranie posuwając się tropem dokumentów rodzaj śledztwa w danej sprawie, śledztwa, z którego wyłania się zagmatwany obraz

rzeczywistości społeczno-politycznej, gdzie rzeczywiste przyczyny mogą być załedwie zasugerowane i nigdy do końca nie wyjaśnione, ponieważ ostateczna prawda o nich do dziś nie jest znana. Mówi się, że Rosi jest spadkobiercą neorealizmu. Coś w tym jest, Rosi asystował Viscontiemu przy „Ziemia drzy” i „Najpiękniejszej”, jednakże samodzielna twórczość rozpoczął w zmienionych warunkach historycznych, w epoce „cudu gospodarczego” i problematyka społeczna interesuje go w splotcie z mechanizmami polityki. Charakterystyczny dla neorealizmu kult dla faktów przybiera w filmach Rosiego inny kształt. Jego utwory są zwykle precyzyjnie zbudowane pod względem dramaturgicznym, odznaczają się walorami sensacyjnymi, opierają się na aktorstwie profesjonalnym najwyższej jakości.

Rosi jest neopolitańczykiem, a to we Włoszech oznacza bardzo wiele, ponieważ tam przynależność regionalna dominuje nad więzią narodową. W Neapolu dzieje się większość jego filmów, a ich tematyka nie mogła ominąć problemu szczególnie w Neapolu palącego, czyli mafii. Z mafijnego środowiska Neapolu wywodzili się szefowie gangsterzy amerykańskiej „Cosa Nostra”, tutaj mafia wywierała decydujący wpływ na bieg szeregu spraw lokalnej polityki społecznej i gospodarczej. Temat mafii jak bumerang powraca w najwspanialszych filmach Rosiego — w debiutanckim „Wezwaniu” czy w głównym „Salvatore Giuliano”. Także w „Lucky Luciano”, którego można obecnie obejrzeć w naszych kinach.

UOMO CONTRO

„Lucky Luciano” jest filmem o relacjach pomiędzy włoskim aparatem władzy a organizacjami mafijnymi Historia Luciano, która opowiada w swoim filmie Rosi jest historią przemian współczesnej mafii. Luciano, autentyczny boss był bowiem tym, który na gruncie amerykańskim zerwał z tradycyjną strukturą mafii służącą dotychczas klasowym porachunkom gangsterskim i nadał jej nowy charakter — włączył ją w tryb wielkiej polityki. Działalność Luciano trafia na forum ONZ. Oddajmy głos Rosiemu: „W fenomenie Luciano nieważne jest to, czy rzeczywiste kierował handlem narkotykami, bo to jest ogólnie znany fakt historyczny. Znaczenie istotniejsze jest to, że Luciano udało się stworzyć nową mafię — przemysłową. Rzeczą podstawową nie były już morderstwa, lecz gra polityczna i wpływ na różne polityczne partie i tendencje. Przekonałem się o istnieniu wewnętrznej więzi między władzą oficjalną i bezprawiem, między systemem i mafią”.

Luciano rozpoczyna karierę mafiosa w Ameryce w latach 30. Trafia do więzienia, lecz na drodze niejasnych machinacji zostaje zwolniony i w glori bohaterskiej wraca do rodzinnej Italii, ab tu kierować zakrojonym na szeroko

skale międzynarodowym handlem narkotykami. Sprawa Luciano jest przedstawiona w szerszym kontekście najnowszych dzieł politycznych. Rosi odsłania korzenie systemu zakładanego we Włoszech przy poparciu wojsk amerykańskich, które wywoziły ten kraj. Do aparatu władzy trafiają gangsterzy z „Cosa Nostra” powiązani z CIA, którzy osłaniają machinacje Luciano. Stąd cecha najbardziej uderzającą jego działalności jest pełna legalność jego zachowań. Postać Luciano (znakomita gra Gianna Marii Volonte) jest otoczona powszechnym szacunkiem i sławą. Zdemaskowanie jego rzeczywistych działań wydaje się niemożliwe, ponieważ osłaniają go oficjalni proktorzy.

„Lucky Luciano” jest filmem bardzo trafnym jako polityczna diagnoza. Jego trafność potwierdza historia naszych czasów obfitująca w krwawe morderstwa polityczne których widownią są współczesne Włochy.

TADEUSZ
SZCZEPAŃSKI

Zirytowało mnie wprowadzenie do ostatniego spektaklu teatru telewizyjnego. Coraz częściej kierownictwo programowe TV każe nam czuć się jakbyśmy uczęszczali do szkoły, a poniedziałkowy wieczór miał nam dostarczać nie wzruszeń estetycznych, lecz porcję dydaktyki.

Tym razem — przed premierową prezentacją „Historii naszych dni” Floriana Kaló — zaaplikowano nam przydługą rozmowę z doktorem psychologii. Nie wiem, czy nie jestem w swych doznaniach odosobniony, ale czułem się podczas tej rozmowy tak, jakby mi ktoś zbierał śmiecie z mleka, zanim je zdążyłem popić. Barbara Osterloff, prowadząca tę rozmowę, wymieniała z uczynym mężem (słowa „mąż” używam w znaczeniu staropolskim, nie potocznym) uśmiechy pełne wzajemnego zrozumienia: oni oboje obserwowali spektakl z taśmy magnetowidowej już przedtem, mieli zatem patent na wszechwiedzę. A biedny widz słuchał jakichś ogólników o konfliktach, o postawach, o godności ludzkiej, nie orientując się zupełnie, w czym rzecz.

Sztuka węgierskiego dramaturga Kaló nie wymagała wyjaśnianego komentarza, tłumaczyła się sama w sposób prosty i klarowny. Jeżeli zaś konieczności chciało się poddać ją psychologicznej analizie, to należało to zrobić nie w formie przygrywki, czy uwertury, ale dyskusji po nadaniu spektakla. Wówczas i telewizywnie mieliby jakiś swój świadomy udział w wypowiedziach z ekranu sądów i opinii.

Tak więc nie najlepiej nastrojony owym zbytnim wstępem, przystępowałem do odbioru sztuki. Szczególnie zdegustowało mnie końcowe zalecenie prezydentki, by „tym razem” szczególną uwagę oddarczyć grę aktorów. Po pierwsze trudno sobie wyobrazić oglądanie widowiska bez zwracania uwagi na interpretację ról, a po wtóre, czy to nie za daleko już posunęła chęć sterowania naszą percepcją?

Może to nie najlepsza przygrywka spowodowała, że spektakl mnie nie zachwylił. Sporo w nim było

PSYCHOLOGICZNA
PRZYGRYWKA

spraw, z jakimi stykamy się na co dzień: zwykłych uczuć, małych radości i smutków, drobnych świństwów, których się wstydzimy, ale które możemy ponownie, gdy zdarzy się okazja. To przemawia raczej za sztuką. Niedobór współczesności w widowiskach telewizyjnych jest odczuwalny. Myślę jednak, że propozycja autora była w gruncie rzeczy dość niesmiata, na tyle banalna, że prowadząca do latwych, oczywistych sądów.

Jeżeli bowiem babcia Annuszka — jak na mój gust nieco przesłodzona przez Barbarę Ludwizankę — wyposażona została przez autora w same niemal zalety, to każde działanie podjęte przez członków rodziny przeciw niej, budziło w nas jednoznaczny sprzeciw. Inaczej rozkładaliby się raczej moralne, gdyby chodząco do dokuczliwej, zdręźliwej staruchy, nie skapiącej swemu otoczeniu wyrafinowanych przykreści.

Bardziej przekonującym był dla mnie Bertalan w interpretacji Henryka Borowskiego. Aktor potrafił nadać tej postaci piętno starczej kłótności i arbitralności. Ale i w stosunku do tej postaci autor nie uniknął uproszczeń. Założona na wstępie skomplikowana i niewesoła sytuacja rodzinna i psychiczna Bertalana znajduje znacznie łatwie, bańsiowe wrecz rozwiązanie. Perspektywa urodzin wnuka i zwalnianie się lóko żelazne u Annuszki za jednym zamachem usuwają wszystkie troski starego człowieka.

OSADZENI
W OSADACH

W nowej serii poetyckiej, Arkusze Sieradzkie, wydawanych z funduszu Wydziału Kultury i Sztuki UW w Sieradzu, ukazał się kolejny tomik wierszy Feliksa Rajczaka, zatytułowany „Ballada o łągach”. Zwraca uwagę opracowanie edytorskie — zbiorek wzbogacony jest o dobre bruki oddające klimat utworów rysunki Alicji Szkudlarek. Mimo stóczenia wierszy, uniknięto nadmierzonego zaciemnienia strony (duże marginesy boczne); czy jednak o obecności takich, a nie innych dwóch wierszy na jednej stronie nie decydowała suma ich wersów? — czasami odnosi się takie wrażenie. Miłym zakłosem jest notka o autorze pióra Mieczysława Kucnera — dzięki trafności i rzetelności sądów stanowiąca chlubny wyjątek wśród powszechnie obowiązujących nonszalancji i zwykłej wobec autora nieuczciwości. Jednym słowem brawa dla działaczy z Sieradza i jak zwykle szanowny Ludowej Spółdzielni Wydawniczej, która arkusze wydaje.

„Ballada o łągach” ukazała się w rok po „Osmym świecie”, trzecim zbiorze poetyckim Feliksa Rajczaka. Oba tomiki mają, pomijając rzecz jasną kwestię warsztatu i poetyki, wiele ze sobą wspólnego w zakresie autorskich fascynacji czy zgola obsesji. Są jednak i zdecydowane różnice. Łączy obie książki charakterystyczna dociekliwość śledząca uwarunkowania ludzkiego losu rzuconego na bezkresy czasu, jednocześnie wszechterażniejszego i w każdej chwili innego. Ale w „Osmym świecie” akcent padał, mówiąc najogólniej, na sprawy rodowodów i wyborów, na moment startu i decyzji. W „Balladzie o łągach” panuje większy spokój, nie padają pytania, poetycki trud służy wyrażeniu świadomości autora pod-

ległego statemu odczuwaniu nerwu istnienia i przemiany wszechżycia na ziemi.

„Przedmioty”, które zdominowały ostatni tomik, to przede wszystkim winnica i popiół, kamień i jaszczurka, wapno i kreda, paprocie i węgla, dzwon i cień. Przy pobieżnej literaturze można odnieść wrażenie, że wiersze Rajczaka „dzisiaj się” teraz, w dostępnym nam żyjącym czasie terażniejszym, na powierzonej dostępnym i deptanej codziennie przez nas ziemi. Słowa-klucze (jeżeli pozostać przy tradycyjnej nomenklaturze) podpowiadają jednak, iż cały ten swój świat dzisiejszy pograżony jest z woli autora w morzu osadów, odkładających się w kolejnych warstwach ziemi świadectwach ludzkiej obecności.

Oczywiście nie wszystkie wiersze zbioru są wyrazem tego specyficznego, bardzo indywidualnego wstawienia w czas miniony, jako wszechwiedzie terażniejszej. W „Balladzie o łągach” wyróżnić można co najmniej trzy grupy utworów. Pierwszą stanowi klasyczna rzecz można impresja — zamykająca w lirycznym poetyckim krajobrazie „ja”, czasami — „ja i ty”. Są to często wiersze dużej urody, urzekające udaną transpozycją głęboko przeżytej chwili i miejsca w literacki odpowiednik. Tak dzieje się choćby w utworach „Kiedy akcja”, „Wspomnienie”, „Przychodzi posławać tu upalnym dniem...”, „Księżyc, jak czerwona rybka...”, „Lipiec”. Sentymet i manifestowanie związku z atmosferą i scenerią wsi („Na polach ogromnych/ zięjących pustką /zakopałem swe serce”), łączy ściśle te wiersze z lirykami grupy następnej, gdzie przeważa refleksja nad sensem i pięknem chłopskiego trudu. Nie chodzi przy tym wyłącznie o apoteo-

zę — obok szacunku i wzruszenia, mieści się tutaj przekonanie o powinowactwie działań, o komplementarności, używając autorskiego skrótów, klósa i pióra. Tego typu przeświadczenie i postawa dochodzi do głosu najwyraźniej w wierszach „Młocarnie pracujące w nocy”, „Żniwa”, „Wymarli wsi starzy gospodarze”, „Ci biedni utrudzeni...”.

I ta grupa utworów nie wyodrębnia się z całości poprzez izolację. Z następną, obecną w tomiku, łączy ją porażające uczucie nierozrwalnego ciągu pokoleń krzątających się po rodnej ziemi i przemijających w kolejnych jej warstwach. Potwierdzeniem tej więzi jest najistotniejsze z czterech występujących w zbiorze pytania:

Iluz oraczy przeszło przez te pola
Rosnące w dzieży widnokręgu?

Jak już się rzekło, autora „Ballady o łągach” wyróżnia dotkliwie nieomal odczuwanie pograżenia całego ziemskiego życia w jednym, wszechobowiązującym czasie terażniejszym, a zarazem przemijającym w momencie co żyje, skazanego na niepowtarzalność chwili minionej. Najdobitniej bodaj ta szczególna świadomość autorska wyrażona jest w wierszu „Stońce zaspane węglem: żarzy się we mgłę...”. Splot terażniejszego z wszechwiedziem: stońce produkujące węgiel, węgiel ściąający spalinami słońce, człowiek żyjący teraz, ale w cieniu niejako paproci — jest i tutaj, i w innych wierszach jedynie konstatacją, nie staje się nigdy w autorskim odczuciu elementów dramatyzującym ludzką egzystencję. Niepokoje mogą budzić i budzą konkretne efekty ludzkich poczynań — zależne całkowicie od nas samych. Groźnymi mogą być industrializacja, wojna, dehumanizacja, ale nie przemijanie w wszechtrwaniu. Uwaga autora skupia się przede wszystkim na stwierdzeniu stanu rzeczy (jak np. w wierszach „wody idą zatapiają stada...”, „Dolina wiatrem się osłania...”). Impuls do poetyckiej refleksji może się stać taki oto choćby fakt, iż

„wzórza morenowe zakwitły sadami”. Fascynacją i ciekawością przeżywania niemożność określić klimat tych właśnie wierszy — poświęconych studiom nad „przemienionymi krajobrazami”, minionym utrwalonym w osadach.

Nie ma mnie tam — pod ziemią —
niżej, niż pada cień
Mojej pokory dla korzeni światła

Które wynoszą mnie przez warstwy
sady
I przez rubiny równin — po koronę
morza

Alto to —
Co niewidzialne otwiera światłem
oczy

I widzi biony niebosłonu, albo
Podgiebia

I jeszcze jedno. Uprzedzając podejrzenia dodać należy, że wbrew temu, co sugerować mogły powyższe wyciągi „Ballada o łągach” nie oddycha atmosferą niczym nie złamanej, celebrowanej powagi, właściwej mowieniu o rzeczach i sprawach ostatecznych. Stałą właściwością twórczości Rajczaka jest humor, wielce zróżnicowany i w dobrym gatunku. W ostatnim tomiku spotykamy i makabryczną groteskę („Krwawa frazka”), i sarkastyczny dowcip tworzący poinię „Jaselek” („bo nie tak przecież nie bawi wielmożów /jak to być dyde pada na kolana/”), i złośliwe wtrącenie („ciężko ci więc dyszysz (...) i swój intelekt wybrzuszasz”). W większości wierszy znajdujemy też dowcipnie, ale nie tylko zabawie służące, lecz i dla wzbogacenia sensu wykorzystane współbrzmienia słów — kulminacje stanowią wariacje na „wino” i „wine”, utwór „Wino wiskarego”. Jeden z dystychów tego wiersza mógłby być przesłaniem całego zbioru:

A co jest winna ziemia, że człowiek
umiera
Ze urodziła wiano, które czasu
przelewa.
WIESŁAW PUSZ

Feliks Rajczak, Ballada o łągach, LSW, Warszawa, 1978, Arkusze „Sieradzkie”, s. 67, cena 15 zł.

„Płomienie”*), drugi pełnometrażowy utwór fabularny Ryszarda Czekala, jest kontynuacją i rozwinięciem tych współczesnych problemów społeczno-kulturowych i obyczajowo-moralnych, które podjął twórca w zrealizowanych przed kilkoma laty filmach „Syn” (krótki metraż, animowany) i „Zofia” (pełnometrażowy debiut fabularny). Pod względem struktury są „Płomienie” filmem złożonym z szeregu krótkich scen, z których większość rozgrywa się jakby w zwolnionym rytmie, ma swój specyficzny klimat już to pełen spokoju, pejsi i niepokojącego skupienia o dużej nośności dramatycznej (np. scena w kościele, scena ubierania ojca przez Czesława, scena, w której Elżunia odkrywa prawdę o matce i wujku pod drzwiami stodoły), już to nabrzmiały dynamizmem, ruchem, jak sekwencja karmienia psa w pokoju, wysięg „sireny” z „fiatem” 125p, czy scena pożaru.

Owa zróżnicowana konwencja poszczególnych scen pozwoliła reżyserowi na bogatą psychologizację i socjologiczną prezentację osób i osobowości, na konfrontację ich sposobów myślenia, sensów i stylów życia. Przy czym nie chodzi tu, jak utrzymują niektórzy krytycy, tylko o wydobycie odmiennego stosunku poszczególnych filmowych postaci do tradycyjnej kultury wiejskiej, lecz o konfrontację całego zespołu wartości i światopoglądów, które określają sytuację życiową bohaterów, cele i sposoby dążeń do nich, sposoby zachowania, stosunki rodzinne i szerzej pojęte stosunki międzyludzkie.

JADWIGA ŁUŻYŃSKA-DOROBOWA

„PŁOMIENIE” BEZ ALTERNATYWY?

Pretekstem do ich pokazania i zdzenia stało się wprowadzenie na początku filmu śmierci Jana — starszego wiekiem rolnika tradycjonalisty, którego w prowadzeniu gospodarstwa wcześniej już zastąpił racjonalizowany i ogarnięty ideą unowocześnienia rolnictwa młodszy syn Czesław. Śmierć Jana spowodowała przyjazd do miasta jego pozostałych dzieci: Edwarda (lekarz) z żoną Urszula i córeczką Elżunią oraz Alicji (aktorka) z mężem Romanem (architekt). Inni członkowie rodziny — to matka, żona Jana, jego siostra (ciotka) z mężem Józefem (wuj) i sędziwa babcia.

Owa rzadko spotykająca się rodzina jest rodziną bardzo osobliwą już właśnie przez sam fakt sporadyczności kontaktów, która powoduje niewiedzę jednych o życiu drugich oraz niemożność wzajemnego głębszego zrozumienia się nawet w obliczu sprawy takiego wymiaru, jak śmierć głowy rodziny. Spośród teź na pierwszy plan wysuwa się Czesław. Pochłonięty, wbrew dezaprobach najbliższych, planami stworzenia dobrze prosperującego gospodarstwa, które pozwoli mu zastąpić moźół tradycyjnego gospodarowania pracą zmechanizowaną, jest Czesław postacią na wskroś współczesną, prawdziwą. Z filmu nie wynika wcale, iż prowadzenie gospodarstwa spadło nań dlatego, iż „...jeszcze nie wyrwał się z domu” — jak twierdzi Marek Pawlukiewicz („Kultura” nr 5 (816) z dn. 4.II.1979 r.), przeciwnie — Czesław sprawnie wrażeń głęboko i spontanicznie zainteresowanego pracą na roli, ale pracą wyzwoloną od znojącego wysiłku, rozumną, „przyjemną” — jak to sam określa. Ow

ped do unowocześnienia i ucłowieczenia pracy w rolnictwie oraz dojrzały, laicki światopogląd czynią z Czesława postać wyobcowaną nawet wśród najbliższych, przyzwyczajonych do tradycyjnego sposobu myślenia i ciężkiej pracy, do niskich, mrocznych, pozbawionych wygód chałup. Może dlatego także jest Czesław młodzieńcem wyciszonym, skupionym, introwertykiem, chętnie i często obcuje z książkami i czasopismami.

Ryszard Czekala wyraźnie jednak nie chce go uczynić modelowo pozytywnym bohaterem, jest bowiem Czesław po trosze dziwakiem, człowiekiem ponurym. Czy są to cechy wrodzone, czy też zrodzone ze świadomości bycia, niezrozumianym przez najbliższych — to pytanie pozostawia reżyser otwartym, czyniąc Czesława postacią nieokreśloną, ale i bogatą, intrygującą.

Nie uczestniczący w modjach przy trumnie, mający za sobą wiele konfliktów z ojcem, on to jednak właśnie nie zdaje się najbardziej przeżywać śmierć ojca (piękna, liryczna wręcz scena ubierania ciała). Zgola inaczej zachowują się pozostałi. Uczestnicząc w ceremonii pogrzebowej raczej z obowiązku, nie rezygnują w najmniejszym stopniu ze swych przyzwyczajzeń i potrzeb, nie omisszają więź wzajemnych porachunków i kłótni, nie zmieniają sposobu zachowania, nie stronią od wesołości, nie zaprzestają troszczyć się o przedmioty, o samochody, ubrania (Edward,

i dążenie do uczynienia jej przyjemną, kulturalną i efektywną w przypadku Czesława) są tylko udziałem ludzi młodych, wywodzących się z kręgu chłopów, ze środowiska wiejskiego. Bo w „Płomieniach” im właśnie „obciążonym” wzorami wyniesionymi z domu, przeciwstawieni są ci z miasta, ludzie bądź to unikający pracy jak snobka Urszula, bądź traktujący pracę jak zło konieczne, cyniczny, pasywny, jak Roman, który mówi o sobie m. in.: „Pracuję tylko wtedy, kiedy muszę”.

W sumie w filmie Czekala nie ma ani jednej osoby, której życie miałoby pełny wymiar, ludzki, humanistyczny sens, nie ma ludzi zwyczajnie szczęśliwych. Starzy rolnicy są zachowawczy (babcia, matka, wuj i ciotka), bez mała ograniczeni, lub zapracowani ponad miarę (matka), bądź to nie mają dzieci i może dlatego tak bardzo poddali się zgorzknieniu, a niektórzy nawet alkoholizmowi (wuj), bądź to nie mogą się już z dziećmi porozumieć — jak matka, a wcześniej także ojciec.

Zaś młodzi, nie znalazłszy szczęścia w związkach małżeńskich, w życiu rodzinnym, rozaczają przed nami krąg swych niespełnień, tęsknot, marzeń (Alicja, która notabene też jest bezpłodna, Urszula) lub wewnętrzna pustkę, brak ambicji życiowych i oportunizm (Roman) bądź też, znalazłszy radość w pracy, tkwią równocześnie w okowach nabytych, bo już nie wyniesionych ze wsi, przyzwyczajzeń i słabostek (Edward). Nawet kilkuletnia Elżunia zdaje się być przedwczesnie dojrzała i gorzka, przejrzałażby tajemki życia swych rodziców.

Nie wszystko więc w „Płomieniach” jest konsekwentne i dopowiedziane do końca, choć nie aż do tego stopnia, by nie można było tego filmu po jednorazowym oglądzie głębiej przeanalizować — jak stwierdziła Anna Tatariewicz („Kultura” j.w.).

Cóż więc proponuje twórca filmu? Wyjaśnia to scena końcowa, scena pożaru budynków gospodarczych Czesława, kiedy to najpierw przerażony rozmiarem płomieni, przed którymi niczego już nie uda się ocalić, Czesław nagle promienieje, śmieje się,

wpada wręcz w euforię, tłumacząc zrozpaczonej matce, iż wzniesie nową, nowoczesną stodołę i chlewnię, które będą lepiej zlokalizowane, bardziej funkcjonalne.

Czy mamy uwierzyć Ryszardowi Czekale, że nowe, dobre, wartościowe może się zrodzić tylko na ziemi spalonej, po zniszczeniu wszystkiego co było? Czy rzeczywiście to, co stare, wcześniej, jest tylko źródłem niedoskonałości, zła, barierą lepszego?

I tu nasuwa się pewna refleksja. Otóż „Płomienie”, mimo różnic filozoficznych, są bliskie problemowo zarówno — i szczególnie — filmowi Grzegorza Królikiewicza „Tańczący jastrząb”, jak też w nieco mniejszym stopniu „Rodzinie” Krzysztofa Wojciechowskiego. Co więc wnoszą „Płomienie” do dotychczasowego sposobu oświetlenia problemów wsi oraz styku wsi — miasto w twórczości ostatniego okresu?

Otóż u Juliana Kawalca (w powieści „Tańczący jastrząb”) bohater — Michał Toporny, biorąc niejako odwet klasowy, społeczny za wieki poniżenia swych przodków — chłopów i lata własnego poniżenia pnie się, nie przebiegając w środkach, także moralnych, ku szczytom kariery głąnc przedwczesnie, lecz zostawiając wartościowych, wzbogaconych doświadczeniami ojca synów.

U Grzegorza Królikiewicza, w filmie opartym na teź powieści i pod tym samym tytułem, bardziej współczesna rzeczywistość i tzw. mechanizmy społeczne, niż uwarunkowania przeszłości, czynią z Topornego istotę agresywną, moralnie dość jednoznacznie złą, która, niszcząc innych, dochodzi do samozagłady — choć znowu synowie Topornego wyciągną — jak się zdaje — z doświadczeń ojca niewątpliwie właściwe wnioski dla własnego życia. Przejawiają oni ponadto żywe zainteresowanie dla kultury, w której kręgu wyrósł Toporny i może nadto zdecydowanie oderwał się od jej wartości.

W „Płomieniach” owo zainteresowanie „miejskich” młodych dla kultury wsi przybiera raczej postać romantycznej tęsknoty za urokami sielankowego pejzażu, słomianych

strzech i bocianich gniazd bez zrozumienia racji gospodarczych (pod tym względem „Płomienie” przypominają telewizyjny film fabularny Ewy Kruk „Koniec babiego lata”), dla których owe uroki wsi muszą stopniowo zanikać. Sami jednak młodzi bohaterowie Czekala, wywodzący się ze wsi, a mieszkający w mieście (Edward, Alicja), nie mają owych społecznie niedojrzałych cech ani też nieprzemiennej parcia do kariery życiowej, które charakteryzowały Topornego. Wydają się też bardziej rozumieć realia wsi i jej kulturę, z której wynieśli przede wszystkim umiłowanie a może tylko przyzwyczajenie do całodziennej, solidnej pracy oraz przestrzeganie norm moralnych. Gdy natomiast chodzi o „Rodzinę” Wojciechowskiego — to i tam także, podobnie jak w „Płomieniach”, występuje rozpad więzi rodzinnych, zwłaszcza podbudowanych rodzinną wspólnotą ziemi. Zaś wkraczanie nowoczesności na wieś dokonuje się w „Rodzinie” przede wszystkim za sprawą spółdzielni produkcyjnej — podczas gdy w „Płomieniach” — za sprawą młodego, światłego rolnika.

Nie roszcżą sobie pretensji do przeprowadzenia wyczerpujących porównań kilku filmów w krótkiej publikacji, pragnę zwrócić uwagę na fakt, iż do pełnego, lub chociażby w miarę pełnego, przedstawienia określonego zespołu problemów wsi, awansu społecznego i innych współczesnych zagadnień potrzeba nam nie jednego, nawet nie kilku, lecz wielu filmów, które mogłyby z sobą dyskutować, polemizować bądź też skutecznie się dopełniać. Dobrze się stało, iż ma w tym swój znaczący udział Ryszard Czekala, choć równocześnie należy żałować, iż na niepełnym sukcesie „Płomieni” zaciążyła nie tyle filozofia tego filmu, ile jego niedopracowanie pod względem reżyserskim a nawet technicznym.

„Płomienie”, scen. i reż. Ryszard Czekala, zrel. w ZRF „Profil” w 1978 r.



Fot: Archiwum

WSPÓŁCZESNY FILM POLSKI

Nakładem Wydawnictwa Interpress ukazała się książka pod takim właśnie tytułem, której autorem jest rektor łódzkiej szkoły filmowej docent Stanisław Kuszewski. Na wpół albumowa pozycja wypełniona luką boleśnie odczuwaną przez miłośników polskiego kina tak w kraju jak za granicą, przynosząc kompendium wiedzy o powojennym polskim filmie.

Powiedzmy sobie od razu, aby uniknąć nieporozumień, że nie jest to książka, która wytyczy nowe szlaki polskiego kina, mający ambicje oryginalności za wszelką cenę. Ale jest to książka znawcy problemów polskiego filmu i życia, choć jednocześnie sprawiedliwego kronikarza jego dokonania.

Wynaczuwszy sobie takie, informacyjne przede wszystkim zadania, Kuszewski prowadzi nas przez problemy rodzimego kina pewnie i szybko. A szybko, gdyż nie stroniąc zupełnie od historii (w albumie znalazł się nawet rozdział: „Nieczo historii” i inny, mówiący także o przeszłości „Szkoła polska”) autor chce przede wszystkim powiedzieć, o tym, czym film jest dzisiaj, w latach siedemdziesiątych.

Aby ten obraz poszukiwań naszej kinematografii nie był zbyt uproszczony, trzeba ukazać go na szerszym tle, przede wszystkim poprzez związki z rodzimą literaturą. Dla nikogo nie jest przecież tajemnicą, ile film jej zawdzięcza, traktując całą niemal rodzimą klasykę jako bazę scenariuszową, co wynika przede wszystkim stąd, że właściwie nie wykształcił się w Polsce zawód scenarzysty filmowego. Kuszewski ukazując bezpośrednie związki między filmem i literaturą w Polsce, zwraca jednocześnie uwagę na ciekawe zjawisko: że wśród „Lokomotyw”, to jest tytułów cieszących się wyjątkową frekwencją, znalazły się tylko cztery filmy oparte o scenariusze oryginalne, nie mające swych powojennych pierwowzorów. Były to: „Zakazane piosenki”, „Skarb”, „Ostatni etap” oraz „Hubal”.

Trzy pierwsze należą do okresu, gdy film nasz dopiero zaczynał raczkować i właściwie tylko „Hubal” można zaliczyć do zjawisk naszego współczesnego kina. Choć oczywiście nie możemy jednocześnie zapominać o tym, że właściwie wszystkie te tytuły należą do nurtu wojennego (komedia „Skarb” dotyczy okresu powojennego, ale korzeniami tkwi w wydarzeniach okupacji).

Na te specyficzne naszego kina zwraca uwagę Kuszewski, słusznie wyodrębniając „Temat wojenny”. „Co szósty film — stwierdza — dotyczy okresu lub jego bezpośrednich następstw, w wielu innych widać pojawia się jako najwyraźniejszy fragment biografii bohaterów, określający ich późniejsze zachowanie”.

Okresu wojny dotyczą także polskie filmy faktu, takie jak „Wolne miasto”, „Zamach”, „Westerplatte”, czy wspomniany już „Hubal”. I ten okres przeważa także w twórczości naszych czołowych reżyserów.

Tu już można by się z Kuszewskim spierać, czy dobór sylwetek czołowych reżyserów jest właściwszy. Na liście sporządzonej przez autora „Współczesnego filmu polskiego” zna-

leżli się Andrzej Wałda, Jerzy Hoffman, Jerzy Antczak, Krzysztof Zanussi oraz Andrzej Trzost-Rastawiecki, ale z pewnością listę tę można by poszerzyć. Aby uniknąć takiego zarzutu, Kuszewski wprowadza do swych rozważań rozdział „Gabinet cieni”. Mówi w nim o tych wszystkich, których utwory pretendować mogą do miana najwybitniejszych, choć z drugiej strony zdarzają się im także słabsze pozycje. Do tego swoistego „Gabinetu cieni”, który może całkowicie odwrócić obraz naszej kinematografii, zaliczył Kuszewski Jerzego Skolimowskiego, Kazimierza Kutza, Bohdanę Porebę, Wojciecha Hasi, Janusza Majewskiego, Tadeusza Konwickiego, Ewę i Czesława Petelskich, Stanisława Różewicza i Janusza Nafetera. D. przedsiorka „Gabinetu cieni” wprowadza wreszcie Kuszewski Henryka Klubę, Marka Piwowarskiego, Tadeusza Chmielewskiego i Sylwestra Chęcińskiego.

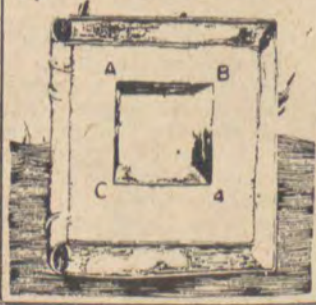
A więc już ciepiej, ciepiej, choć oczywiście nadal można się spierać, czy to obraz naszej kinematografii dostatecznie pełny. Nie zapominajmy jednak, że temat „Współczesny film polski” jest ogromnie pojemny, że pojawia się nowa, z trudem rejestrowana przez krytykę dziedzina — fabularne filmy telewizyjne, że wreszcie istnieją filmy dokumentalne, oświatowe, animowane.

Można by więc mnożyć i zarzuty i podwały pod adresem Kuszewskiego, który miał wyjątkowo trudne zadanie. Jak albumowy charakter „Współczesnego filmu polskiego”, jego książka przynosi zresztą bardzo wiele informacji i zasługuje raczej na pochwałę, podobnie jak dobór ilustracji, które w tego typu publikacji są równie ważne jak tekst.

„Współczesny film polski” ukazał się także w wersji językowej angielskiej, francuskiej, niemieckiej i rosyjskiej. Na pewno spełni za granicą rolę ambasadora naszej kultury.

K.F.

Ex LIBRIS
ODGŁOSÓW



na. Nie napisał jej przecież krytyk mający ambicje oryginalności za wszelką cenę. Ale jest to książka znawcy problemów polskiego filmu i życia, choć jednocześnie sprawiedliwego kronikarza jego dokonania.

Wynaczuwszy sobie takie, informacyjne przede wszystkim zadania, Kuszewski prowadzi nas przez problemy rodzimego kina pewnie i szybko. A szybko, gdyż nie stroniąc zupełnie od historii (w albumie znalazł się nawet rozdział: „Nieczo historii” i inny, mówiący także o przeszłości „Szkoła polska”) autor chce przede wszystkim powiedzieć, o tym, czym film jest dzisiaj, w latach siedemdziesiątych.

ZDARZENIA I ZWIERZENIA

„Czas to pieniądz”, to dewiza, której aktualność przypominamy sobie na każdym kroku. Powszechnie uważa się, że wymyślił ją Angliki, ale ma ona bardzo stary rodowód. Władysław Kopaliński w swojej książce „Kot w worku, czyli z dziejów powiedzeń i rzeczy” — twierdzi, że wzięta została z pism greckiego filozofa Teofrasta, żyjącego na przełomie IV i III wieku przed naszą erą. Liczy więc sobie dobrze ponad dwa tysiące lat. Prawdopodobnie jednak pochodzi z jeszcze starszej epoki.

Możemy zatem powiedzieć, że czas właściwie od zawsze był tą najcenniejszą ludzką walutą. I chociaż w przysłówku stawia się znak równości między czasem a pieniądzem — to przecież czas ma wartość z pewnością najwyższą.

Na marginesie słowniwa ciekawostka. Otóż w „Słowniku frazeologicznym języka polskiego” Stanisława Skorupki pod hasłem „czas” odnotowanych jest 69 różnych rodzaju związków frazeologicznych, przykładów, przysłów... Pod hasłem „pieniądz” jest także odnotowanych 69 związków. Czyli mamy tu swego rodzaju remis, jeśli chodzi o powszechność zastosowania tych słów w polszczyźnie. To, oczywiście, zwykły przypadek — czas jest z pewnością walutą cenniejszą.

Rzecz prosta, jak z każdą walutą bywa, najważniejsze jest to na co się ją przeznacza. Z tym jest i było różnie. Prof. Roman Kaleta w głośnych „Sensacjach z dawnych lat” przypomina wierszyk zapomnianego poety sprzed stu lat pt. „Czas to pieniądz”:

„Panie Piotrze, oto książka
Chciej przeczytać ją z uwagą”

PROPOZYCJE

Pytanie to może również dotyczyć pana, a można je zadać też w liczbie mnogiej: czy wy lubicie duchy? W każdym przypadku odpowiedź będzie pozytywna, bo na ogół wszyscy lubimy słuchać, opowiadać, czytać, dowiadywać się o rzeczach niesamowitych, tajemniczych, niezrozumiałych, niewyjaśnionych, których „wartość” można skwitować wyznaniem

CZY PANI LUBI DUCHY?

wiary lub niewiary. Tak, jak kiedyś mówiło się: — ja tam w duchy nie wierzę, tak teraz mówi się: — ja tam w UFO nie wierzę, nie wierzę w „trójkąt bermudzki”, nie wierzę w wieszak całą parapsychologię. A inny może spokojnie powiedzieć: — a ja wierzę. I wszystko jest w najlepszym porządku.

Wierzyć jednak to co innego, a lubić, to co innego. Można w coś nie wierzyć, a lubić o tym słuchać i czytać. Można nie wierzyć w parapsychologiczne zdolności Uri Gellera czy

SPORT

Tygodnik „Piłka Nożna” przyniósł dość mglistą wiadomość. W numerze z 30 stycznia br. donosi, co następuje:

„22 stycznia (poniedziałek) Wydział Ligi i Gier (chodzi oczywiście o PZPN — przyp. B.M.) omawiał problemy wynikające z uchwały Przewodniczącego GKKFIS ograniczającej możliwość dokonywania zmian barw klubowych. W postępowaniu wzięli udział przedstawiciele Rakowa — Częstochowy oraz ŁKS, którzy przybyli w związku z przeniesieniem Zdzisława Sławuty do Łodzi. W omawianiu o uchwale Przewodniczącego GKKFIS Wydział uznał sprawę za niebyłą”. Koncepcja informacji.

Obok, na sąsiedniej stronie tego samego numeru „Piłki Nożnej”, można przeczytać notatkę pod tytułem: „CO ZROBIĄ?” Oto treść tej notatki:

„W ŁKS trenuje od początku stycznia bramkarz Lechli Gódnak. Kwaśniewicz i napastnik Rakowa, Sławuta. Do Zagłębia przyniesł się kolega klubowy tego ostatniego, Malolepszy. Jak wszyscy ci piłkarze zachowują się teraz, po wejściu w życie zarządzenia Przewodniczącego GKKFIS, ograniczającego możliwość dokonywania zmian barw klubowych? Może po prostu wrócą do domu?”

I bądź tu, człowieku, mądry. Co w kontekście tych dwu informacji oznacza sformułowanie „uznał sprawę za niebyłą”? Bo, skoro „może po prostu wrócą do domu”, to znaczy, że albo sprawa jest niebyła, bo została w nowych klubach, albo jest niebyła, bo wracają. W tej sytuacji trzeba po prostu poczekać do rozpoczęcia sezonu ligowego. Kiedy piłkarze wybiegną na boiska, wszystko wreszcie będzie jasne.

A warto by to wyjaśnić, bo nierazki jest pogąd, że właściwie nie ma co robić

Tu autor w szkiełkach śmiałych
Podaje nam prawdę nagą...”

„Ale pan Piotr odpowiada, że „nigdy nie ma czasu”. W następnych zwrotkach namawiają bohatera, aby obejrzał nową maszynę rolniczą, aby wziął udział w

CZAS TO PIENIĄDZ

jakieś gospodarskiej dyspucie miejscowego ziemianstwa — i zawsze pada odpowiedź: „nie mam czasu”. Wreszcie pada propozycja:

„Panie Piotrze — wypoczęta
Para siwek tnych ognista.
Więc każ zaprząć — pojedziemy
Do Olszówki zagrać w wista...”

I — oczywiście — pan Piotr znajduje „chwilkę czasu”, która przeciąga się do następnego ranka. Rzecz prosta realia tego wierszyka są dziś zupełnie nieaktualne — nikt nie gra w wista, nikt nie podrzuca parę siwek... Ale sens tej retrosatyry jest chyba dość współczesny.

Współcześnie natomiast często się zdarza, iż zasadę „czas to pieniądz” sprowadzamy do absurdu. Opowiadano mi kiedyś taką historię. Otóż do pewnej filharmonii przybył na kontrolę rewident finansowy, stosujący bardzo rygorystycznie zasadę „czas to pieniądz”. Kontroler zauważył, że w czasie koncertu nie wszyscy

muzycy grają jednakową ilość czasu, a honoraria pobierają równo.

Siadł przeto nad partyturą i przy pomocy kalkulatora obliczył kto, kiedy i ile pauzował — i na tej podstawie ustalił wynagrodzenie. Najwyższą stawkę uzyskał skrzypek — zaś perkusista, który podobno tylko parę razy uderzył w kotły — zarobił 12 złotych. „Czas to pieniądz” — powiedział kontroler.

Chociaż znam różne prawdziwe wydarzenia kontroli finansowej w instytucjach artystycznych — nie mogę jednak uwierzyć w autentyczność tej złośliwej historyjki. Wiózmy ją więc między bajki...

Natomiast zdarzały się nieraz sytuacje, kiedy ludzie otrzymywali urzędowe wezwania uiszczenia jakiejś niedopłaty w wysokości kilkunastu czy kilkadziesiąt... groszy. W tych sytuacjach zasada „czas to pieniądz”, także sprowadzona była do absurdu. Wezwani ludzie zwalniali się z pracy, tracili czas, cenniejszy, niż pięćdziesiąt groszy.

Oczywiście, każdy księgowy powie, że groz to nie jest grosz, tylko pozycja w rachunku i musi się zgadzać. Rzecz prosta księgowi mają w tym wypadku całkowitą rację — tylko, że istnieje wiele sposobów, aby te niedopłaty wyrównywać bez niepotrzebnej straty czasu. I to wcale nie wbrew — ale w imię zasady „czas to pieniądz”. Trzeba tylko myśleć, bo taka funkcja przypisana jest gatunkowi, który sam przydał sobie miano „homo sapiens”.

Wśród setek „myśli nieuczestnych” Stanisława Jerzego Leca znalazłem taki aforyzm — „Czas robi swoje. A ty, człowieku?”. No właśnie!

WIDOK

GALERIA PISARZY ŁÓDZKICH

MIECZYSLAW MICHAŁ SZARGAN



Dziś fraszkopisa fraszką obsłużę:
Jakżeś wyładniał w karykaturze!

Rys.: Stanisław Jhis Gratkowski
Tekst: Horacy Safrin

LEWYM OKIEM

TAKI MAŁY WNIOSEK

Są takie skrzyżowania ulic w Łodzi — i w stolicy też, a także w innych miastach — gdzie na każdym z czterech rogów stoi kiosk „Ruchu”. Są przystanki tramwajowe i autobusowe, przy których dwa kioski stoją naprzeciw siebie po dwóch stronach wąskiej ulicy. Czasem przystanki się przenosi, a kioski stoją i każdy z nich może raptem liść czy na mieszkańca jednego niewielkiego domu, o który się opiera.

Są wprawdzie i takie trasy, gdzie — nie wiadomo dlaczego — trzeba długo iść zanim spotka się punkt nabycia „Expressu” i zapalek. Kto tujejszy i zna sytuację, wie że wystarczy skręcić w dowolną boczną i już po paru krokach „Ruch” stoi jak złoto. Frajer, który o tym nie wie, idzie prosto i dziwi się, jak to w tej dzielnicy niskie czytelnictwo.

Na ogół jednak w żadnym wielkim mieście za granicą nie spotyka się tylu punktów sprzedaży prasy, co u nas. A jeszcze dodajcie do tego fakt, że byle biuro, klubik, świetlica — a już w sekretariacie leży sterta czasopism i gazet, na ogół nigdy nie czytanych, chyba że je przez zabiera do domu jak swoje. Nikt przecież nie zajdzie do sekretariatu żeby tam czytać gazetę, bo jakże tak, w godzinach pracy? W klubach zaś nie ma przeważnie nikogo poza graczami w domino i kielonkami, który układa pisma w równe kupki, aby je z końcem roku oddać do archiwum.

Zresztą to są sprawy dziejące się w czterech ścianach, a nam chodzi dzisiaj o publiczną, otwartą sprzedaż prasy. Tak dużo tych kiosków, jak gdyby czytelnictwo prasy osiągnęło jakiś niezwykły poziom. Niestety, wcale tak to nie jest i ze statystyk wynika, że jesteśmy dość daleko w tyle za innymi krajami co do ilości szpalt na głowę, tytułów na tysiąc głów i jak to się jeszcze liczy. Statystyk tych nie będę przytaczał,

ale słowo daję, że są takie i że wcale z nich nie wynika, że byśmy byli rekordzistami. To dlaczego — zapytacie — stoją przed kioskami takie długacne kolejki?

Pomijam ostatnie tygodnie, kiedy ze względu na oszczędności ograniczono nakłady prasowe, co zdwoiło apetyty publiczności. Tak dzieje się zawsze: gdy na rynku spadnie podaż czegokolwiek, popyt — nie tylko ten niezaspokojony, ale w ogóle popyt — natychmiast wzrasta. Zjawisko to próbujemy już nawet umować w skomplikowane wzory matematyczne, chociaż psychologia niełatwo poddaje się liczbom. Ale to sprawa ostatnich tygodni. Przedtem widywały się kolejki po prasę wyłącznie w soboty. To stali ludzie, którzy cały tydzień mogą obejść bez dziennika, ale w sobotę muszą go mieć, bo tam jest program telewizyjny na cały następny tydzień. No więc wniosek prosiłki taki, że aż mi wystyd: czyżby nie można było drukować tych programów osobno, na lichym gazetonowym papierze, w formie niedużego ulotki, a za to w wielkim nakładzie, żeby wystarczało absolutnie dla wszystkich? Niech by sobie kosztowały po pół złotego, żeby nikt nie dopłacał, a za to żeby prawdziwych gazet wystarczało dla tych, co chcą je naprawdę czytać. Ręczę, że kolejki stopniują jak ręka odjął, a jeszcze redakcje „Głosów” i „Dzienników” uwolnią się od uciążliwych serwitutów na rzecz naszych świetnych mass mediów. Kioskarze ucieszą się również, bo otrzymają niejako dodatkową „masę towarową”, która ułatwi im wykonanie planu obrotów. Czyli prawie wszyscy będą zadowoleni. Oprócz oczywiście tych, co jeszcze chcieliby kupować tygodniki, a nijak dostac ich nie mogą. Ale to osobny kłębek tematów, zostawmy na inną okazję.

MARCIN RODAK

w którym klubie wojskowym się znajdzie? Czy to jest zmiana barw klubowych, czy nie? Czy w takim wypadku działa zarządzenie Przewodniczącego GKKFIS, czy nie działa? Czy uzna się to po prostu za wypadek wyjątkowy, jaki to zarządzenie dopuszcza?

Pewnie, że niech się o to sprawy martwi PZPN, ale przecież kibice chcą wiedzieć, chętniej rozumieć, co się kryje pod „uznaniem sprawy za niebyłą”, i to raczej już teraz, nie czekając do czasu, kiedy piłkarze zaczną grać.

Na stadionach leży śnieg. Piłkarze trenują, przygotowują się do spotkań ligowych. Reprezentanci szykują się do wyjazdu do Afryki, gdzie zmierzają się z tamtejszymi zespołami. Pierwsza reprezentacja w Tunezji, olimpijska w Libii. Kibice nadal więc żyją sprawami piłki nożnej, interesują ich przygotowania do wielu różnych imprez, które odbędą się, zanim jeszcze zaplonie znicz olimpijski na stadionach Moskwy. Wszak to, co dzieje się teraz, wyniki które osiągnięte są w najbliższym czasie, wpłyną w sposób decydujący na rezultaty zmagania olimpijskich.

Jest więc powód, żeby się interesować wszystkimi sprawami, które dzieją się w sporcie. Kibic chce, aby nasi zawodnicy osiągnali dobre wyniki w dobrej, czystej atmosferze. Niech to będzie prawdziwa, sportowa walka, a nie kalkulacja i taktyczne zagrywki. Niech o wynikach sportowców decydują ich umiejętności, forma i talent, a nie kunkatorskie rozważania w gronie sportowych menadżerów. A w tej materii kibic ma się o co martwić.

BOGDA MADEJ

ZMARTWIENIA KIBICA

Jednym, a innym nie? Wątpliwość może i słuszna. Tym bardziej że już w Piśmie św. powiedziano, aby rzucił kamieniem ten, kto sam jest bez winy. I chętnych do ukamienowania jakoś zabrakło. Tylko, że w ten sposób można sprawdzić absolutnie wszystkich.

Skoro już wdałam się w rozstrząsanie tych wątpliwości, to wspomnę o jeszcze jednym. Zarządzenie Przewodniczącego GKKFIS, ograniczające do czasu Olimpiady zmianę barw klubowych, nie nie wspomina o młodych ludziach, których ewentualnie czeka służba wojskowa. Jak będzie się postępować, kiedy dobrze zapowiadający się zawodnik tego czy innego klubu stanie wobec konieczności odbycia służby wojskowej? A jeśli już zostanie do wojska wcielony, to

CWIEK